

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Cena 6 d

„Life”

Catholic Weekly

Rok II

Londyn, 1 lutego 1948.

Nr. 5/38

Andrzej CIEŚLEWICZ

Ognisko rodzinne jako droga do świętości

NATURALNA ROLA RODZINY

GDY czytamy książki poświęcone życiu wewnętrznemu, opisujące różne sposoby doskonalenia się duchowego, widzimy, iż stale mowa tam o uświęceniu się pojedynczych osób z osobna. Nawet wtedy, gdy wchodzi w grę różne stosunki pomiędzy ludźmi, jak węzły pokrewieństwa i inne zależności społeczne, to stosunki te traktowane są raczej, jako przeszkody, utrudnienia w dążeniu do doskonałości. W życiu wewnętrznym są one niewyczerpanym źródłem umartwień, krzyżów, sposobności do ćwiczenia się w poslušnej, cierpliwej, bezinteresownej miłości bliźniego. Na ogół jednak nie ma mowy o tym, by nawiązywanie stosunków pomiędzy ludźmi, miało sprzyjać uświęceniu, by mogło samo działać uświęcająco.

W szczególności, gdy chodzi o związek małżeński, wraz z całym spletem zależności, stanowiących t. zw. ognisko rodzinne, to dochodzą tu jeszcze przynajmniej dwie okoliczności, które sprawiają, iż skłonni jesteśmy uważać życie małżeńskie niemal za jakieś upośledzenie pod względem życia wewnętrznego. Pierwszą okolicznością — to niewątpliwa wyższość powołań dziewiczych ponad wszystkie inne powołania ludzkie. Drugą okolicznością — to również niewątpliwe sponiewieranie przez ludzi spraw płci, a sprawy te są wszak czymś istotnym w małżeństwie.

Gdy spojrzymy znowu na całą ludzkość, jak ją Kościół ogarnia, przetrzymar i uświęca, to widzimy, iż najświętsze środki skutecznego działania jakimi są Sakramenty, — wszystkie niemal mają na celu udzielenie łaski pojedynczym ludziom. Jedynie Eucharystia jest Sakramentem społecznego zjednoczenia członków Ciała Mistycznego Chrystusa — jak już sama nazwa „Komunia Święta” na to wskazuje. Poza tym zaś, tylko Sakrament małżeństwa, udziela łaski nie pojedynczym osobom, lecz — parze osób, tej najdrobniejszej całości społecznej. I oto, żaden inny stosunek społeczny nie dostępuje tego Boskiego wyróżnienia: ani państwa, ani narody, ani zrzeczenia o najwznioślejszych celach, ani nawet śluby zakonne, śluby dziewiczej czystości. To zaś tak pospolite, niemal że tylko biologiczne skojarzenie się pary ludzi — Bóg podnosi do godności sprawy nadprzyrodzonej, sprawy na wieczność całą. Święty Paweł wszak pisze wyraźnie: „Sakrament to jest wielki, a ja wam mówię w Chrystusie i Kościele.” (Efez. 5, 32). Jak sobie wytłumaczyć to zadziwiające wyróżnienie?

Przede wszystkim trzeba rozwiać te dwie wątpliwości, o których była mowa przed chwilą. Co się tyczy więc wyższości powołań dziewiczych, to z niej wcale nie wynika, by inne powołania miały uniemożliwiać ludziom dążenie do doskonałości. Powołań jest bardzo wiele, i w każdym wypadku chodzi o inny typ doskonałości. Szczegółowe powołań mogą być różne w hierarchii świętości ustanowionej przez Boga, ale na każdym szczeblu można osiągnąć właściwy mu typ doskonałości, właściwą mu pełnię wiecznego szczęścia, pełnię świętości.

Druga sprawa — to sponiewieranie przez ludzi spraw płci. Otóż sprawy te są o tyle złe, nieczyste, o ile właśnie są sponiewierane. Same przez się — są naturalne, dobre. Tylko, że trudno nam zdać sobie dobrze sprawę, na czym polegają naturalne cele, naturalna rola tych spraw w życiu ludzi. To sponiewieranie ich bowiem — tak się rozpowszechniło, tak stało się powszechne i jak gdyby naturalne, iż ta nieczystość jest „natu-

ralnym”, nieodłącznym znamieniem zbliżenia się osób różnej płci. Wszak nawet pokutuje bardzo rozpowszechnione niedorzeczne mniemanie, że grzech pierworodny polegał właśnie na cielesnym zbliżeniu.

Nie podobna wyjaśniać tu wszystkich tych nieporozumień. Wystarczy streścić, w najkrótszych słowach, naturalną rolę spraw płci, by potem na tym tle zdać sobie sprawę z nadprzyrodzonej roli Sakramentu. Błędy rodzą się głównie stąd, iż nie docenia się naturalnej dwoistości człowieka. Zdrowe, zgodne z ludzką naturą, wzajemne dążenie ku sobie osób różnej płci, to nie tylko dążenie cielesne, ale także — dążenie duchowe. Cieleśna strona, cała gra zmysłów, o której zwykle najwięcej się mówi, jest raczej podrzędna wobec nieskończenie ważniejszych wartości duchowych. Ta duchowa strona dążenia ku sobie obejmuje wszystkie świadome i wolne upodobania i skłonności człowieka, zwracające się ku drugiej płci, jako ku wartości duchowej, jako ku tej jedynej osobie, która może stanowić jak gdyby uzupełnienie własnych zasobów duchowych. Gdy dążenia te są wzajemne, wówczas takie dwie osoby jednoczą się w swoistą całość duchową. Całość ta stanowi właściwy naturalny środek duchowego kształtowania się i rozwoju każdej nowej osoby ludzkiej, każdego przychodzącego na świat dziecka.

Jest to bowiem właściwością natury ludzkiej, że w okresie dziecięcym, dusza ludzka potrzebuje otoczenia duchowego innych ludzi. Otoczenie to wpływa na młodą istotę wszechstronnie; osłania przed wstrząsami, uczy mowy, otwiera widnokręgi myślowe, wdraża do samodzielnego działania i t.d. Im bardziej jest wszechstronny ten wpływ otoczenia ludzkiego, tym bardziej można mówić o podobieństwie, jakie zachodzi pomiędzy dojrzewaniem duszy ludzkiej, a dojrzewaniem ciała. Podobnie jak ciało potrzebuje szeregu miesięcy, zanim dojrzeje w łonie matki, do samodzielnego życia materialnego, cielesnego; tak samo dusza ludzka potrzebuje szeregu lat, zanim dojrzeje, w łonie rodziny, do samodzielnego życia duchowego.

Zjednoczenie duchowe jest więc nie tylko wynikiem wzajemnej miłości, wzajemnego całkowitego oddania się sobie małżonków; lecz zarazem — jest również nieodzowne do właściwego wychowania potomstwa, jak ich zjednoczenie cielesne. Sprawy duchowe są jednak niewidzialne. Dwoistość ludzkiej natury wymaga, by wyrażały się w dostrzegalnych znakach. Im ściślej więc, im wielostronniejsze jest zjednoczenie duchowe dwojga osób, tym bardziej domaga się uzewnętrznienia, okazania tego sobie na wszelki sposób. Cieleśna gra zmysłów jest właśnie najstosowniejszym, naturalnym, środkiem wyrażania uzewnętrznienia tych wszystkich niewidzialnych spraw duchowych, jakie stanowią niezniszczalną wartość zjednoczenia duchowego. Cała gra zmysłów jest więc nie tylko sprawą fizjologiczną, zapewniającą narodziny potomstwa, lecz zarazem — jest również nieodzowną do pełni zjednoczenia dwojga osób, jak to, co nie jest widzialne, co jest duchowe.

W ten sposób występują wyraźnie dwa naturalne cele, którym służy wzajemne dążenie ku sobie osób różnej płci. Cele te, t. zw. „dobra małżeństwa”, są to — potomstwo i wierność. Gra zmysłów jest zgodna z naturą ludzką, dopóki nie naraża tych dwóch podstawowych wartości naturalnych, które są jej właściwym celem. Celem bowiem jest zrodzenie i wychowanie potomstwa, oraz celem jest złączenie

dwojga osób w wyższą jedność duchową, co określa się owym jednym słowem „wierność”. Środkiem zaś do osiągnięcia obydwóch tych celów jest wszystko to, co się wiąże ze sprawami płci.

Zarazem też widoczne jest, na czym polega naturalna, swoiście społeczna rola małżeństwa. Dzięki dbałości o te dwa dobra małżeństwa, ognisko rodzinne staje się zawiązkiem, jakgdyby komórką rozrodczą duchowej więzi społecznej. Istotą tej więzi jest miłość. Miłość pomiędzy władzami i podwładnymi, do jakiej wdrażają człowieka od małego naturalne węzły miłości pomiędzy rodzicami i dziećmi; oraz miłość braterska, jakiej uczy się rodzeństwo, póki żyje razem w łonie rodziny.

Te dwa cele naturalne małżeństwa wyznaczają granicę, w obrębie których gra zmysłów jest moralnie dobra. Zło, nieczystość zaczynają się dopiero wtedy, gdy granice te zostają naruszone: bądź — skutkiem umyślnego zakłócenia czynności rozrodczych; bądź — jeśli pożądaną cielesną kierują się ku osobie, z którą wcale nie ma się zamiaru zjednoczyć duchowo w pełni wzajemnego oddania się. Tu się zaczyna dopiero sponiewieranie. Pod wpływem zapoznania, przepaszczenia tych wielkich dwóch celów, jakim służą zdrowe dążenia płci, sama cielesna gra zmysłów urasta do godności samodzielnego, głównego celu, jako źródło rozkoszy zmysłowej. Jest to zwyrodnienie naturalnych czynności ludzkich, potęgujące się przez wieki, dzięki nałogom pokoleń, wychowywanych w moralnym zaślepieniu.

Moralność katolicka przywraca sprawom płci właściwe im miejsce w ramach naturalnych. — Więcej jednak — gdyż podnosi je zarazem do uczestnictwa w nadprzyrodzonej tajemnicy Sakramentu małżeństwa. Zgodnie z tradycyjną nauką Kościoła, Sakrament jest trzecim, nadprzyrodzonym dob-

rem małżeństwa, obok owych dwu dóbr naturalnych — potomstwa i wierności.

Jak wszelkie działanie łaski, tak też i tu działanie łaski sakramentalnej nie pomniejsza, nie ogranicza w niczym naturalnych spraw, które łaska przepaja, lecz zachowując je nienaruszone, zarazem doskonali je nieskończenie.

To zachowujące, ochronne działanie łaski jest nieodzowne, gdyż — jak uczy Objawienie — skutki grzechu pierworodnego są wrodzone. Nacisk różnorodnych złych skłonności jest tak silny, że — praktycznie biorąc niemożliwe jest, by człowiek mógł utrzymać się, o własnych tylko siłach, w całkowitej zgodności z nakazami moralnymi, które uznaje. Tylko dzięki nadprzyrodzonej pomocy łaski staje się to możliwe. Pomoc ta zapewnia naturalnym władzom duchowym człowieka wystarczającą sprawność do pokonania naporu złych sił; od wewnątrz — naporu pragnień samej rozkoszy zmysłowej; od zewnątrz — naporu złych nałogów i obyczajów zwyrodniałego otoczenia.

Jest to jak gdyby podwójne działanie łaski: zestrajające wewnętrzny ład naturalny ogniska rodzinnego, oraz zabezpieczające, ochraniające od zewnętrznych, obcych zakłóceń. Prócz tego zaś, ponieważ leczniczego działania na naturalną grę zmysłów, łaska sakramentalna wpływa też na drugi, jak gdyby szczebel naturalnego współżycia małżeńskiego: jest to owa jedność duchowa małżonków. Tu też łaska ochrania od zakłóceń i doskonalą, zestraja wzajemną wymianę i pomnażanie wartości duchowych obojga małżonków, uszlachetniając miłość tak, by przede wszystkim — jak pisze Pius XI w swej znanej encyklice „Casti connubi” — „małżonkowie pomagali sobie wzajemnie w coraz pełniejszym kształtowaniu w sobie człowieka wewnętrznego.”

ANDRZEJ CIEŚLEWICZ

Jan WINNICKI

Czy chrześcijańska

WJEDNYM z ostatnich numerów ŻYCIA pewna korespondentka stawiała pytanie, czy Anglia jest krajem chrześcijańskim. Na to pytanie usiłowała odpowiedzieć twierdząco — szczególnie na podstawie swoich przeżyć w kółkach YMCA. Oczarowała ją czytanie w klubach tej organizacji Pisma św.

Zdaje mi się, że na to odpowiedzieć można by osobno. Co zaś do zasadniczego pytania: Mogę stwierdzić, że w tych kilkunastu miesiącach, które spędzam tu w Anglii, spotykam się stale z opinią, głoszoną przez Anglików, że Anglia przestała być krajem chrześcijańskim. Są i inne głosy: — że Anglia jest ostatnim legalnie chrześcijańskim krajem na świecie. Ale to rzadkie głosy... Jaka jest prawda?

Ryszard O'Sullivan, K. C., t.j. mecenas królewski, wybitny prawnik, katolik, tak przemawiał w angielskim B.B.C., Home Service, w dniu 16.X. 1945, na postawione zagadnienie: „Czym się odznacza kraj chrześcijański?”

— Chrześcijaństwo, powiada, owionęło nowym powietrzem wszelkie dziedziny życia. Świat dzieli się naprawdę na świat sprzed Chrystusa i świat po Chrystusowych poczynaniach. Efekt chrześcijaństwa na prawo jest potęż-

ny. Diametralne różnice prawne zachodzą przed i po narodzeniu Chrystusa Pana. Oto świat antyczny żył na koszt niewolnictwa, czyli, że jeden człowiek wolny rozporządzał gromadą, stadem istot niewolnych, nie mających praw, bez uznanej i zagwarantowanej osobowości: żyjące narzędzia cudzej woli, myśli, interesu czy przyjemności. A na szczycie takiego ustroju społecznego był cesarz, władca absolutny i przedmiot religijnego kultu boskiego.

Inaczej rzecz wygląda w angielskim Common Law, które jest w swym pochodzeniu chrześcijańskim systemem prawnym. Ten system angielskiego prawa, wypracowany od trzynastego wieku, nigdy nie oddawał Cesarzowi, co należało się Bogu (oczywiście aż do Reformacji). Henryk of Bracton, twórca kodyfikacji Common Law, w średniowieczu, powiada iż „król jest pod władzą Boga i prawa.” To znaczy, że zasady i orzeczenia sprawiedliwości są boskiego pochodzenia i boskim cięszą się autorytetem. Dla tego też są wyższe ponad koronę i parlament.

Dalej — angielskie Common Law, idąc za natchnieniem chrześcijańskiego ducha, uznawało wartości każdej ludzkiej osobowości, pełną osobowość każdego człowieka. Stawiając jako zasadę dynamiczną, że z natury swej

ciąg dalszy na str. 2

Zdarzenia - fakty - uwagi

„WOLA NARODU”

KOMUNIŚCI w Pradze Czeskiej wpadli na wspaniały pomysł. W swym organie prasowym wezwali wszystkich obywateli Czechosłowacji, by każdy z nich wysłał we własnym imieniu kartę pocztową, na której, po czesku i po rosyjsku, jest wyrażone życzenie, aby między Czechosłowacją a Związkiem Sowieckim został zawarty jak najściślejszy sojusz. Na każdej z tych kart widnieje adres: „J. W. Stalin, Moskwa, Kreml.” Liczne upaństwowione przedsiębiorstwa zamówiły owe kartki, oczywiście dla wszystkich swych pracowników. Życzeniem zaś czeskiej Kompartii jest, aby generalissimus Stalin otrzymał co najmniej 12 milionów takich kartek, tyle bowiem mieszkańców liczy ludność kraju. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę wyniki niektórych wyborów, nie jest wykluczone, że ta jednostronna korespondencja przyniesie listów znacznie więcej...

GWARANTKI WOLNOŚCI

ZNANY historyk francuski, Charles Seignobos, już w roku 1895 napisał, że historia XIX wieku przyniosła dwie skuteczne formy gwarancji wolności. Pierwsza z nich — to polityczne wyrobienie narodu, który swym przedstawicielem stawia wysokie wymagania, ale też, w razie potrzeby, jest gotów poprzeczyć ich przeciw każdemu rządowi. „Drugą jest żywa prasa, która o wszystkim informuje i zdecydowanie bada, ogłasza i krytykuje wszelkie poczynania tych, którzy mają władzę. Prasa, która jest niezależna od urzędników, a nawet od sędziów nie mogących jej nakazać milczenia, a która jest za bogata i zbyt liczna, aby można ją było całą przekupić. Tylko państwo takiego narodu i o takiej prasie byłoby zabezpieczone przed wszelkim despotyzmem.” A mistrz politycznej publicystyki brytyjskiej, H. W. Steed, stwierdził: że „W XX w. obie te gwarancje wzajemnie się uzupełniają i od siebie zależą, gdyż najlepszym sposobem politycznego wychowania narodu jest wolność prasy, a nic tak dobrze nie zabezpiecza wolności prasy jak właśnie czujność wykształconego politycznie narodu.” Niektóre przykłady z najnowszej historii naocznie okazały słuszność obu tych twierdzeń.

NA DRODZE KU JEDNOŚCI

Z KOŃCEM ubiegłego roku nastąpiło w Paryżu połączenie 4 organizacji, których celem jest utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy. Pod przewodnictwem Duncana Sandy, zięcia Winstona Churchilla, powstał tam

„Międzynarodowy Komitet Związków Jedności Europejskiej.” Do Komitetu weszli przedstawiciele: francuskiej „Rady Zjednoczonej Europy,” na której czele stoi Edward Herriot; belgijskiej „Niezależnej Ligi Współpracy Europejskiej,” pod przewodnictwem Pawła van Zeelanda; angielskiego „Komitetu Europy Zjednoczonej,” której przewodniczy Winston Churchill oraz „Europejskiej Unii Federalistów.” Wszystkie te organizacje postanowiły uzgodnić swą działalność i utworzyć biura współpracy w Paryżu i w Londynie.

A tymczasem w Szwajcarii twórca ruchu pan-europejskiego, Ryszard Coudenhove-Kalergi, generalny sekretarz „Europejskiej Unii Parlamentarnej” podał, że Unia zbierze się w jesieni 1948 i powoła do życia Kongres parlamentarny, który przystąpi do organizowania Stanów Zjednoczonych Europy.

Mozolna i długa jest droga do jedności, ale nie trzeba zapominać, że te projekty znajdują uznanie wśród ludzi zmęczonych wojnami. Najważniejsze jest jednak, jaki będzie wspólny pozytywny cel owej jedności, bo jak wiadomo cele negatywne na długo nie starczą.

PREZYDENT I NARÓD

GDY prezydent Truman wyrażał w swym noworocznym orędziu optymistyczną wiarę w pokój na ziemi i w Narody Zjednoczone, naród amerykański w wielkiej ankiecie stwierdził przekonanie w coś przeciwnego. Oto na pytanie: „czy spodziewa się Pan(i), że Stany Zjednoczone w ciągu najbliższych 25 lat wezmą udział w nowej wojnie?” — 63% Amerykanów odpowiedziało „tak”. W r. 1945 na to samo pytanie padło tylko 32,1% głosów „tak”.

Na drugie pytanie: Czy sądzi Pan(i), że Stany Zjednoczone powinny coś uczynić, aby uniknąć wojny? — 55% odpowiedziało „tak,” 30% odpowiedziało „nie,” a 15% nie miało swego zdania. Z 55% odpowiadających „tak” — 38% było zwolennikami metod pojednawczych, a 17% polityki nieustępliwości.

Ciekawą byłaby odpowiedź na pytanie, czy prezydent Truman mocno wierzył w to, co mówił, bo przecież chyba zna swe społeczeństwo i jego nastroje...

„MATRYARCHAT”

WŚRÓD głosów powojennej publicystyki niemieckiej należy zanotować apel, o przyznanie matce właściwej roli w polityce niemieckiej. Matki powinny się połączyć, aby ćwiczyć w swych dzieciach heroizm wymierzony przeciw wojnie i nie pozwolić, by je przygotowywano tylko do heroizmu w walce. Ponieważ matki

ponoszą straszne skutki wojen wywołanych przez mężczyzn, powinny i one dojść do głosu, by nie były tylko dostarczyniami „materiału ludzkiego.” Ponad partiami, ale jako potężna grupa w obrębie parlamentu, matki i kobiety niemieckie powinny w obrębie swego narodu i na terenie życia międzynarodowego walczyć z kompleksem przemocy.

Głos ten jest bardzo słuszny, gdyż chodzi tutaj o zasadniczy w psychice niemieckiej brak kultury uczuć, której krzewicielką jest kobieta. Niestety, wpływ kobiet niemieckich na życie w kraju był zbyt mały i był celowo ograniczony. Usiłowano raczej kobiety ujmować w organizacje militarne. Matki przegrały wojnę z Hitlerem i dlatego Niemcy spotkała niebywała klęska. „Rządy matek, czyli matryarchat, może dziś uratować Niemcy” — czytamy oto w prasie niemieckiej.

MODELE BÓSTW

PO podziale i uniezależnieniu się Indyj zaczęto tam kampanię za usunięciem pomników przypominających brytyjskie rządy w tym kraju. Są to przeważnie posągi rozmaitych angielskich znakomitości. Ale akcja ta napotkała na całkiem nieprzewidziane przeszkody, bo okazało się, że wiele z tych pomników ludność uważa za posągi religijne, przedstawiające rozmaite bóstwa. Królową Wiktorię uważa się za boginię, a mężów stanu i generałów za bogów. Przed tymi pomnikami składa się ofiary z kwiatów, owoców i żywności oraz czyni się uroczyste śluby.

Pomniki te stały się już zbyt uznanymi świętościami, by ktoś mógł wątpić, że nie są konieczne, nawet w obecnej erze samodzielnosci politycznej. Po prostu nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogłyby przedstawiać ziemian i to jeszcze symbolizujących minioną epokę zależności.

GROŹNE BŁAZNY

RADA Artystyczna Cyrków Państwowych w Związku Sowieckim zajęła się również programami kłownów cyrkowych, badając je starannie, czy też nie odchylają się one od „linii generalnej.” Pod badawczymi okularami specjalistów politycznych okazało się, że niektóre uwagi „głupich Augustów” nie były takie głupie, jak by się zdawało, i znajdowały podejrzaną uznanie wśród publiczności. A więc trzeba było wprowadzić cenzurę głupstw wygłaszanych przez niektórych kłownów.

Słaba to przyjemność być „głupim Augustem,” gdy się wciąż musi żyć w strachu, by któryś dowcip nie wydał się zbyt śmiały komuś z widowni i by wesołek nie musiał się tłumaczyć z jakiegoś „odchylenia.”

Pewne pismo zagraniczne dowcipnie zauważyło, że rząd sowiecki spełnił najtajniejsze życzenie, kryjące się w sercu każdego kłowna, a mianowicie: by go brano poważnie.

SILA ZAUFANIA

W CZASIE ostatniej wojny pewien żołnierz z armii hinduskiej dostał się w Birmie do niewoli japońskiej. Potrafił jednak z niej uciec i przekraść się do swych oddziałów. Zapytany, jak mu się to udało, odpowiedział, że zupełnie prosto, bo miał ze sobą kompas i mapę. Na strzępach starej mapy pokazał swe przejście przez dżunglę, gdzie obszedł, a gdzie zaś przekroczył rzeczkę, jak się przekradł między oddziałami japońskimi i gdzie go o mało co nie przyłapał patrol nieprzyjacielski.

Historia brzmiała całkiem wiarygodnie, ale zupełnie niespodziewaną okolicznością było to, że owa mapa sporządzona dla automobilistów przedstawiała... wyłonek Londynu!

Ten drobiazg nie zniechęcił jednak dzielnego żołnierza, on miał mapę i kompas oraz silne zaufanie do nich, a zapewne najważniejsze: umiał nieźle orientować się w terenie.

NOWY PRZEMYSŁ

W AUGSBURGU jakaś pozbawiona skrupułów jednostka wyszukuje w klepsydry pogrzebowych adresy domów, w których ktoś umarł i przesyła krewnym takie listy:

„W głębokim żalu pograżeni krewni!”

Chociaż nieznamy wyrazam me głębokie współczucie z powodu ciężkiej straty poniesionej przez zgon drogiej Im osoby. Gdzie Pan dopuszcza krzyż, tam udziela też sił do jego nie sienia.

Jako człowiek zupełnie zrujnowany przez naloty bombowe, pozwalam sobie, w pełni nadziei, zwrócić się do Państwa z zapytaniem, czy nie mógłbym nabyć czegoś z rzeczy pozostałych po Zmarłym, oczywiście, płacąc najwyższe ceny, ewentualnie w naturaliach. Wzamięm za uprzejmość Państwa gotów jestem wpisać imię Zmarłego do Wiczyznego Funduszu Zmarłego, w którym będzie mógł korzystać z około 600 mszy, odprawianych co roknie za niego. Szczególnie pilnie potrzebuje: aparatu fotograficznego, maszyny do pisania, bielizny, parasola itd.

Łączę pełne współczucia wyrazy uszanowania.”

(podpis i adres)

Szczególny rodzaj obłudnej hyeny, która zdaje się wcale nie źle żyje ze swego procederu i nabiera coraz to większej bezczelności. — Jeszcze jeden powojenny „przemysł.”

Pamiętaj

o

odnowieniu prenumeraty

ZE STRONY 1

każden człowiek jest wolny, odrzucało samą myśl o niewolnictwie, które uznano za sprzeczne z prawem i ze sprawiedliwością. Całą swoją wagę w ciągu długich wieków przykładano do tego, aby klasy ludzi niewolnych przysposobić do życia wolnego. Również w stosunku Kościoła do państwa Common Law zastosowało chrześcijańskie poczucie swobody i ludzkiej osobowości. Uznało Kościół i państwo za dwa ciała społeczne, względem siebie niepodległe, choć wzajemnie skoordynowane. Przyświecała temu myśl, iż moralne i duchowe życie każdego człowieka jest poza zasięgiem władztwa politycznych urzędników swobodności ludzkiej. Zasada ta jest gwarantowana w pierwszym paragrafie „Wielkiej Karty” (Magna Charta) Anglii, gdzie powiedziano: „Kościół w Anglii ma być swobodny i ma stosować swe własne prawa w całej ich pełni.”

To też poprzez długie wieki dwa sądownictwa regulowały życie angielskie: Trybunały Koronne i Trybunały Kościelne. Te ostatnie zajmowały się wszystkim, co się odnosi do instytucji małżeństwa. Aż do 1857 roku nie istniał w Anglii regularny system rozwodowy. Państwo samo spoczywało na fundamencie małżeństwa chrześcijańskiego, które z natury swej jest nierozdzielne, jako swobodne i dobrowolne połączenie mężczyzny i niewiasty, na cały przeciąg życia, jednego mężczyzny z jedną kobietą. Jako skutek uznania przez

siebie świętości małżeńskiego związku, Common Law miało ścisły szacunek dla domowego ogniska. W prawodawstwie angielskim żyło przekonanie stosowane w praktyce, że małżeństwo stanowi z samej swej istoty i powinno stanowić w (zakresie sprawiedliwych granic społeczność samorządną).

Tak jak Common Law powstrzymywało się od spraw rodzinnych, podobnie nie uznawało za stosowne wściabiać się w wewnętrzny ton sumienia i myśli każdego człowieka. „Myśl ludzka nie podlega sądom” — mówiło i nie uznawało możliwości pociągnięcia kogokolwiek do odpowiedzialności „za niebezpieczne myślenie.” Gdy chciano przekroczyć tę normę wobec świętego Tomasza Morusa, kanclerza Anglii — później męczennika wiary katolickiej — za to, że zachował zrazu milczenie na komisji, która rozpatrywała sprawę ogłoszenia Henryka VIII głową Kościoła w Anglii, mógł ten doskonale wzór angielskiego człowieczeństwa odpowiedzieć śmiało:

— Za to milczenie żadne wasze prawo ani żadne prawo na świecie nie może mnie karać sprawiedliwie, aż wykaże mi coś karygodnego w słowie lub czynie.

A wobec tak chrześcijaństwem przepojonego prawa, życie angielskie przeniknięte chrześcijańską cnotą i chrześcijańską wiarą płynęło spokojnie.

Ale jak jest dzisiaj, w roku Pańskim 1945? Czyż prawo i instytucje Królestwa są nadal oparte o chrześcijańską filozofię życia i chrześcijańską wiarę? Czy kultura dnia powszed-

nego i angielski typ życiowy świadczą nadal o chrześcijaństwie?

Oto za pierwszej wojny światowej Izba Lordów miała zadecydować, czy spadek dla wybitnie antychrześcijańskiego stowarzyszenia może być przez angielskie prawo uznany. A na to powstało pytanie, czy prawdą jest, że chrześcijaństwo jest składową częścią prawa angielskiego, a jeśli tak, to w jakiej mierze. I po rozpatrzeniu się w sprawie można było zakonkludować, „że obecnie twierdzenie, jako by chrześcijaństwo stanowiło składową część prawa angielskiego jest w rzeczywistości tylko i jedynie zwrotem retorycznym,” a więc idąc za oświadczeniem angielskich autorytatywnych ekspertów prawnych, nowoczesna Anglia jest obecnie w swej istocie niechrześcijańskim państwem, lub jest tym, co się nazywa państwem „świeckim.”

Podobnie w r. 1924, ten sam osąd, i z tego samego źródła dotyczył instytucji małżeństwa. W prawie angielskim nowoczesnym, od 1857 r. świętość małżeństwa przeszła do archiwum, co znakomicie potwierdza prawnicza historia małżeńska w Anglii za czas ostatnich stu lat. „Co było niegdyś stanem świętym i nietykalnym, łącząc całe życie dwojga istot, obecnie nabiera znamion czasowego kontraktu najmu na okres dowolny” — jak się wyraził jeden z czołowych stróżów prawa w Anglii.

Degradacja idzie dalej. I dezintegracja. To też dają się już zauważyć rysy na przywilejach, jakie Common Law przyznawało indywidualnym

swobodom jednostki ludzkiej. Już zdarzają się wypadki, że trybunały mogą wszczynać postępowania prawa prywatnego w imię wolnych obywateli, ale wbrew ich świadomości i woli nawet. Tak więc spada wciąż wskaźnik chrześcijańskości naszego prawa i prawnego życia, jak spada poziom chrześcijańskiego życia narodu.

Nie jest już dziś prawdą, by większość narodu angielskiego wyznawała chrześcijańskie zasady, przyznawała się do wiary chrześcijańskiej. To też sumienie przestaje mieć wartość prawną, a z nim swoboda jednostki jako możliwość czynienia dobrze. I stajemy wobec krzyżowych zagadnień rozdroża. „Jeśli tracimy naszą wiarę w chrześcijaństwo, kończy autor, gdzie możemy znaleźć siłę duchową i duchowy wzlot, aby być nadal zdolni do życia swobodnych i odpowiedzialnych obywateli? Czyż możemy zlikwidować naszego chrześcijańskiego ducha, a zachować dary i zdobycze, które on nam przyniósł? I czy Common Law, jako więź moralna imperium i główne źródło wolności może przeżyć zanik tych sił i wartości duchowych, które dały mu początek i jego istotną wartość?”

Jest to stwierdzenie i krzyk trwogi. Otóż, jak z referatu tego wybitnego angielskiego prawnika wynika, Anglia nie jest państwem chrześcijańskim, bo przestała być krajem chrześcijańskim. Tam, gdzie państwo nie jest oparte na świętości małżeństwa, na nietykal-

DOKOŃCZENIE OBOK

Wojciech BAK

CZY CHRZEŚCIJAŃSTWO W DWUDZIESTU WIEKACH NIC NIE ZROBIŁO?

Jednym z najczęściej chrześcijaństwu stawianych zarzutów było to, że mimo dwudziestu wieków pracy nie zdołało ono człowieka przemienić w myśl swoich ideałów, że ludzkość w dalszym ciągu trwa w stanie nie bardzo pociesającym. Zarzut ten na pierwszy rzut oka jest bardzo przekonywujący. W istocie — trzeba przyznać — ludzkość, wychowana na chrześcijaństwie, przedstawia obraz zgoła różny od widoku wcielonych cnót i doskonałości moralnych. Wszystkie grzechy główne mają w nim przedstawicieli — i to bardzo oddanych przedstawicieli. Postacie zaś świętych zawsze były rzadkością i wyjątkiem. Na pozór więc jest całkowita racja w zarzutach stawianych chrześcijaństwu. Nie dało ono ludzkości pokoleń rodzaju człowieczego, który by mógł budzić wielki zachwyt moralny. To wydaje się całkowicie potwierdzać krytykę wrogów chrześcijaństwa. Krytykę, kulminacyjną w twierdzeniu, że chrześcijaństwo nic nie zrobiło.

Ale wystarczyło kilka lat panowania hitlerizmu, by udowodnić, na jak słabych motywach taki zarzut jest oparty. Wyrugowanie chrześcijaństwa z życia doprowadziło do takiego zdziwienia, że wieki będą ze zgrozą patrzyły na skutki tego historycznego faktu.

Wojna totalna, ze wszystkimi jej zbrodniami, podeptanie wszelkich więzów łączących ludzkość, zamienienie całego narodu niemieckiego, który miał przecież przedtem także piękne karty w historii, w tłum bandytów, sadystów, denuncjantów, morderców — okazała, jak optymistycznie oceniano ludzkość. Wykazała więc, do jakich potworności moralnych jest ludzkość zdolna. Tym samym wykazała, jak ważkie były te hamulce moralne, które chrześcijaństwo na ludzkość nakładało. Jasnym się stało dla każdego nieuprzedzonego obserwatora, że ogromną zasługą chrześcijaństwa było nie całkowite, ale jakże głęboko sięgające pohamowanie zbrodniczych instynktów ludzkich. Zwycięstwo chrześcijaństwa najwyraźniej zostało potwierdzone przez jego klęskę.

Ci, którzy usuwali chrześcijaństwo już dawno przed hitlerizmem na pew-

ności rodziny, na pełnym uwartościowaniu sumienia i osobowości ludzkiej, tam już nie jest ono chrześcijańskie. I kraj, który to cierpi, lub wywołuje — chrześcijański nie jest.

Chrześcijańska dezintegracja Anglii zaczęła się od walki z Kościołem i chęci krępowania jego autonomii duchowej. Za jego swobodę zginął śmiercią męczeńską św. Tomasz Becket, angielski Stanisław ze Szczepanowa). Ale wiele wieków przeszło, nim monarchia angielska w swym dążeniu do absolutyzmu ujarzmiła Kościół, czyniąc go zrazu „narodowym”, a potem rodzajem swej własnej instytucji świeckiej do spraw kultu...

Jednak żywotność chrześcijańska Anglii była tak silna, zasady pełnego chrześcijaństwa tak głęboko wniknęły w tradycję życia, w zwyczaj osobisty, w krew, myśli, że pomimo negacji rzeczowych i wirtualnych, zawartych w nowych urządzeniach Henryka, Elżbiety, dwóch Rewolucji, w praktyce prawnej ogniska domowego stare zasady trwały dalej, aż dezintegracyjne dzieło Tudorów zaczęło wydawać jawne owoce. Wyczerpał się zachowany jeszcze zasób chrześcijański, pojawiło się prawo rozwodowe i wraz z nim Anglia przestała być państwem chrześcijańskim.

Ale może jest ona ludnością chrześcijańską?

Wejdźmy do kościołów anglikańskich, weźmy do ręki broszury „O Nawrócenie Anglii”, lub czytamy wezwania do modlitw o to nawrócenie. Wszystko świadczy, że wiara wywierała. Trudno, by ostała się tam, gdzie kwestionuje się nawet chrzest,

no nie przypuszczali w najgroźniejszych snach, do czego ich działalność doprowadzi. W optymizmie swoim nie dostrzegali, na jak kruchych podstawach ich wiara przesadna w ludzkość jest oparta i jak głębokie fundamenty współzycia ludzkiego podkopują przez swoje działanie.

Rzeczywistość historyczna okazała, że z usunięciem chrześcijaństwa umożliwiono wydobycie się na jaw tych części natury ludzkiej, które z konieczności musiały doprowadzić do nihilizmu.

I stanęliśmy przed całą ohydą ostatniej wojny.

Kto był w Niemczech, mógł dostrzec wyraźnie, jakie były przyczyny psychologiczne wszystkich zbrodni niemieckich.

Typowy Niemiec — nie mówię tutaj o wyjątkach — nie był bynajmniej, jak to naiwni przypuszczają „herosem” zbrodni, romantycznym Zygfydem, dla którego lupiestwo i mord mają romantyczną siłę przyciągającą. To był po prostu cynik. Jemu było właściwie wszystko obojętne, byle tylko on „coś” zyskał. Prawa moralne nie istniały dla niego. Jeśli czasem się w nim obudziły i zaczęły mu dokuczać, traktował je z lekceważeniem jak zastarzały nonsensowny przesąd i najszybciej rugował je z świadomości.

Zmuszony nadzieją zrobienia kariery lub strachem do ścisłego podporządkowania się bezmyślnym i okrutnym rozporządzeniom swoich „szefów”, które nic wspólnego z moralnością nie miały, na końcu doszedł do takiego zobojętnienia na wszelkie zagadnienia moralne, że cynizmem jego był „weśoly”. Życie całe straciło dla niego charakter moralny, a stało się wyłącznie zbiorem zagadnień technicznych i taktycznych. „Człowiek” nie odgrywał w jego myśleniu żadnej roli. Jakże daleko odbiegaliśmy nie tylko od pojęcia człowieka — odbicie Boga, ale nawet „brata”. Ba — nawet kantowska norma „człowieka, nie mającego być nigdy środkiem, ale tylko celem”, straciła wszelkie praktyczne znaczenie. Życie sprowadziło się praktycznie biorąc tylko do instynktu samozachowawczego. Pewien Niemiec

albo się go nie praktykuje, gdzie tyle wiar ile głów, gdzie przede wszystkim zamartwiał żywy i niepodległy nikomu autorytet kościelny.

Inna sprawa, że wiele, bardzo wiele dusz w Anglii szczerze szuka Boga, religii, garnie się do jakiegoś takiego życia duchowego, na to wiele jest świadectw. I że czyni się to częściej i poważniej, całkowiciej, niż gdzie indziej. Inna też sprawa, że zasób jeszcze kursujących, ożywiających prawd chrześcijańskich jest bardzo wielki, jak gdyby w jakimś kraju kursowały jeszcze dobre, stare złote, dziś już oficjalnie wycofane, monety. Inna rzecz wreszcie, że koloryt życia pozostał chrześcijański, mniej lub więcej, a ilość budynków kościelnych wielka, jak wiadomo, zwraca właśnie swą liczbą uwagę. Ale czy są one — z wyjątkiem katolickich — uczęszczone? Inna wreszcie rzecz, że tam, gdzie chrześcijaństwo żyło i dawało swój owoc, wiele rzeczy przezeń nabytych nigdy nie może całkowicie zginąć. I że wzrost Kościoła katolickiego jest wielki.

A co do doświadczeń, przeżytych w kółkach biblijnych Y.M.C.A., to inna sprawa, którą poruszyć można oddzielnie. Samo czytanie Pisma św., choć tak bardzo zalecane przez Kościół, a praktykowane w licznych kółkach w Polsce, nie przesądza jeszcze sprawy. Jest to tylko wstęp, a korzyć zależy od ducha i zrozumienia, z jakim się Pismo czyta. Bo może być też duch kultury wprowadzie biblijnej, ale i minimizacji, pomniejszenia wartości Pisma równocześnie.

JAN WINNICKI

powiedział mi wyraźnie: „Bei uns ist nur der Selbsterhaltungstrieb geblieben” (Pozostał w nas tylko instynkt samozachowawczy). Oni już nie byli źli ani dobrzy — lecz cyniczni!

Ta cyniczna masa ludzka była prowadzona przez szaleńców, którzy zamierzali cały świat zamienić w jeden obóz niemiecki, gdzie pozostałyby u wszystkich tylko „instynkt samozachowawczy.”

Relatywizacja norm moralnych, pozbanienie ich absolutnej wartości i sensu religijnego doprowadziła powoli, ale konsekwentnie, do tego pogodnego cynizmu, który cechował naród niemiecki.

*

Skoro normy moralne straciły wartość absolutną, siłą rzeczy musiały one prędzej czy później zmienić się w frazesy, którymi można taktycznie szermować, ale których brać poważnie nie można. Postępowanie zaś czołowych hitlerowców było codzienną praktyczną nauką cynizmu. Najgłębszy człowiek musiał zrozumieć, że nie należy brać poważnie norm religijnych i moralnych. Szczególnie zaś chrześcijańskich.

I zrozumiał: Jakie były tego wyniki — widzieliśmy.

Na zewnątrz mordy, grabieże, komory gazowe, obozy koncentracyjne, masowe groby, niszczenie całych narodów.

Na wewnątrz państwa: pościg za karierą, strach, denuncjatorstwo, wzajemne „oszpikowanie”, obawa ojców przed dziećmi, przyciągnięciem przed przyciągnięciem, sąsiadów przed sąsiadami... i kariera, kariera nade wszystko.

*

Postronny obserwator patrzył na makabryczne widowisko społeczeństwa niemieckiego ze szeroką zgrozą otwar-

tymi oczyma. Jakże rzadko mógł zobaczyć „człowieka” zabłąkanego w tej masie pogodnych cyników, których potworności były tym straszliwsze, że spełniano je z całkowitym spokojem, bo został tylko instynkt samozachowawczy. I tłumione całą siłą bezradne instynkty moralne.

Społeczeństwa chrześcijańskie na pewno nie były święte. Nie ma grzechu głównego, którego by nie popełniły, nie ma zbrodni, która by im była obca.

Ale przecież nie można tych bardzo nieświętych społeczeństw porównywać do tej masy pogodnych cyników. W takim zestawieniu można je uważać za społeczeństwa doskonale mimo wszystkich zbrodni, które im także obce nie były. I nie ulega dla mnie wątpliwości, że zasługą chrześcijaństwa jest, że nie były takimi, jakimi mogłyby być, że nie były pogodnie cyniczne i że życie ich nie sprowadzało się tylko do „instynktu samozachowawczego” i taktycznych posunięć.

Stwierdzenie to jest bardzo właściwe w okresie Bożego Narodzenia. W tym okresie, w którym czcimy pamięć Tego, który nie pozwolił być ludzkości tym, czym w zasadzie mogłaby być, jak to widzimy na przykładzie Niemiec. Bo straszliwe są możliwości ludzkie, a najstraszliwsze wtedy, gdy usunie się hamulce i pozostawi tylko pogodny cynizm.

Nie ma człowieka — dla którego ludzkość nie jest czymś frazesem — który by mógł nie schylić głowy przed dwudziesto-wiekowym promieniowaniem Tego, co uchroni ludzkość przed jej straszliwymi możliwościami!

I Którego brak, to możliwości objawił w całej ich demonicznej grozi! („Głos Katolicki”, Poznań).

WOJCIECH BAK

Dr Kazimierz STUDENTOWICZ

Duchowe szanse ludzkości

Pod koniec XIX-go wieku dał nam znakomity konwertyta i żarliwy głosiciel mistycyzmu katolickiego, J. K. Huysmans, w swej powieści „W drodze”, wydanej w r. 1895, niezrównany obraz chrześcijańskiego stylu życia, zachowanego aż do tak późnych czasów w całej swej pierwotnej surowości i niepokalanej czystości. W drugim tomie swej powieści wprowadza nas Huysmans w tajniki życia zakonu Trapistów, w którego murach bohater powieści, Durtal, stawia końcowe i ostateczne kroki na drodze ku katolicyzmowi. Opuszczając klasztor, uzdrowiony i pojednany z katolicyzmem po tygodniowych rekolekcjach, Durtal żegna się z opatem, który go w trakcie rozmowy zagadnął:

„Widzę z kawałków dzienników, jakie do mnie dochodzą, że na razie społeczeństwo jest oprowadane socjalizmem. Każdy radby rozstrzygnąć sławne zagadnienie socjalne. Dokądże doszli?”

— „Dokąd doszli? ależ do niczego! O ile się nie zmieni dusz robotników i pracodawców i nie uczyni się z nich w jak najprędszym czasie ludzi bezinteresownych i miłosiernych, to cóż zdziałać mogą wszystkie systemy socjalistyczne?”

„A jednak — rzekł mnich, ogarniając ruchem klasztor — to zagadnienie rostrzyga się w jego obrębie.”

„Placa tu nie istnieje, więc wszelkie spory upadają same przez się.”

„Każdy pracuje według swego uzdolnienia i swych sił; ojcowie nie mający krępekich bark i dużych rąk, zawiązują czekoladę lub przygotowują rachunki, a ci, co są silni, kopią ziemię.”

Należy w tym miejscu wspomnieć, że opisywanego klasztoru Trapistów autor nie wymyślił, lecz skopiował z

rzeczywistości. W powieści klasztor ten został nazwany Notre Dame de l'Atre. W przedmowie do dalszego wydania, z 1896 r., autor wyjaśnia, że klasztor ten mieni się właściwie Notre Dame d'Igny i znajduje się w pobliżu Fismes, w departamencie Marne.

Autor pisze: „Opisy dotyczące się klasztoru są dokładne, wiadomości o trybie życia, jaki tam prowadzą — prawdziwe; portrety zakonników autentyczne. Ograniczyłem się po prostu ze względu na dyskreję do zmiany nazw.”

Opisywany klasztor utrzymuje się wyłącznie z uprawy ziemi, własnymi rękami mnichów, oraz z produkcji czekolady w małej fabryczce zakonnej.

W dalszym ciągu swej rozmowy z rekolektantem Durtalem mówi opat: „Dodaje, że równość w naszych klasztorach jest tak zupełna, że przełożony i opat nie cieszą się żadnym innym przywilejem, niż inni mnisi. Przy stole porcje, a w sypialniach sienniki są identyczne. Jedyny przywilej opata polega na tym, że musi wziąć na siebie nieuniknione kłopoty, związane z prowadzeniem duchownym i kierownictwem doczesnym opactwa. To też przyczyna, dla której robotnicy klasztoru mieliby strajkować, nie istnieje — zakończył opat z uśmiechem.”

„— Tak, ale jesteście minimalistami, kasujecie rodzinę, kobietę, zadowalacie się byle czym, spodziewacie się istotnej nagrody za wasze trudy po śmierci. Niechaj ojcie do wyłumaczy mieszkańcom miast!”

„— Nieprawdaż, że położenie socjalne da się ująć w tych słowach — pracodawcy chcą wyzyskiwać robotników, a wzamian robotnicy żądają maximum zapłaty za minimum wysiłku.

Nie jesteście to więc położenie bez wyjścia?"

— Istotnie i jest to smutne, albowiem socjalizm bądź co bądź opiera się na zasadach pokojowych, czystych, a potykać się będzie zawsze o egoizm i chęć zysku, o nieuniknione szkopy grzechów człowieka."

„A czy przynajmniej ta mała wytwórnia czekolady przynosi wam jakiegokolwiek zyski?"

„Tak, ona nas ratuje."

Opat zamilkł, poczem po chwili ciągnął dalej:

„Czy pan wie, w jaki sposób klasztor się zakłada? Biorę jako przykład nasz zakon. Otóż, ofiarowują mu posiadłość i ziemię należące do niej z warunkiem, że je zaludni sam. Cóż tedy robi? bierze garść swoich mnichów i osadza ich na gruncie, którym go obdarzono. Lecz na tym zatrzymuje się jego zadanie. Ziarno musi zakiełkować samo; inaczej mówiąc, trapiści oddzieleni od swego macierzystego domu, muszą zarabiać na życie i wystarczać sobie."

„To też, gdy objeśliśmy w posiadanie te budynki, byliśmy tak biedni, iż od chleba do obuwia, wszystkiego było nam brak, byliśmy jednak spokojni o przyszłość, nie było bowiem przykładu w dziejach klasztorów, ażeby Opatrzność nie zaopiekowała się opactwami, które Jej zaufają. Powoli wydobylismy z ziemi potrzebny zapas żywności; nauczyliśmy się potrzebnych rzemiosł; obecnie sporządzamy nasze odzienie i obuwie; zbieramy nasze zboże i pieczemy nasz chleb; mamy więc zapewniony byt materialny, niepokoją nas tylko podatki; z tego powodu założyliśmy tę fabrykę, której dochód staje się z roku na rok lepszy."

Tryb życia trapistów jest trudny do naśladowania. W innej części powieści trapiста, ojciec Stefan, oprowadzający Durtala po klasztorze mówi w refektarzu: „Mijałbym się z prawdą, gdybym twierdził, że dogadzamy sobie. Wie pan, co jest najcięższe do zniesienia w pierwszych czasach? brak przypraw w potrawach. Pieprz i korzenie są niedozwolone przez regułę, a ponieważ nie ma na naszym stole ani jednej solniczki, więc spożywamy pokarmy tak, jak nam je podają, przeważnie zaledwie osolone."

„Podczas niektórych dni letnich, gdy pot spływa grubymi kroplami, staje się to prawie nie do zniesienia, gdyż dostaje się mdłości. A jednak trzeba, bądź co bądź, wpełznąć w siebie tę gorącą papkę, spożyć ją w ilości dostatecznej, by nie osłabnąć do dnia następnego; spoglądamy na siebie zniechęceni, wydaje się nam to nie do wytrzymania; nie znajduję innego wyrazu na określenie naszego sierpniego obiadu jak, że jest męczarnią."

„I wszyscy: ojciec Opat, przełożony, ojcowie, bracia, wszyscy mają to samo pożywienie?"

„Wszyscy. Teraz pójdziemy do sypialni."

„Weszli na pierwsze piętro. Olbrzymi korytarz, podzielony jak stajnia na klatki drewniane, ciągnął się wzdłuż, zakończony po obu stronach drzwiami."

„Oto nasze mieszkanie — rzekł mnich, zatrzymując się przed przedziałami. Nad każdym z nich widniało imię mnicha, a na pierwszym z kolei imię ojca Opata."

„Durtal dotknął się łóżka, przylegającego do jednej z dwóch przegród." Było ono tak chropowate jak grzebień do gręplowania, a ostre jak tarka. Składało się z prostego pikowanego siennika, położonego na desce, bez prześcieradła, jedynie przykryte więzienną koldrą z szarej wełny; zamiast poduszki leżał worek słomy.

„Boże! jakież to twarde! zawołał Durtal; mnich roześmiał się na te słowa."

„Nasze habity łagodzą nieco chropowatość tego fałszywego materaca rzekł — reguła bowiem nie pozwala nam się rozbiierać; możemy jedynie zdjąć obuwie; śpiemy więc w ubraniach, z głową owiniętą w kaptur."

„Jakże musi być chłodno w zimie w tym korytarzu, wystawionym na wszystkie wiatry! dodał Durtal."

„Bez wątpliwości, zima jest sroga tutaj; ale pora ta nie przeraża nas; można wytrzymać jako tako, nawet bez ognia w ciągu pory mroźnej; natomiast — lato! — Gdyby pan wiedział jak okropną jest rzeczą przebudzić się w ubraniu mokrym od potu i nie wyschłym jeszcze z wieczora!"

W innym miejscu powieści p. Bruno, człowiek świecki który zdecydowa-

wał się żyć przy klasztorze do końca swego życia, wyjaśnia Durtalowi, dziwiącemu się, że wśród mnichów są bardzo młodzi ludzie:

„Myślą się bardzo ci, którzy wyobrażają sobie, że Trapiści żyli poważnie w świecie. Pogląd tak rozpowszechniony, że ludzie chronią się do klasztoru Trapistów po doznaniu wielkich smutków, po życiu rozwiązłym, jest zgola fałszywy; zresztą, aby móc znieść osłabiający tryb życia klasztorowego, trzeba zacząć za młodu, a przede wszystkim nie wnosić ze sobą ciała zniszczonego przez nadużycia wszelkiego rodzaju."

„Nie należy również mieszać mizantropii z powołaniem zakonnym; nie hipochondria, lecz zew Boski prowadzi do klasztorów. Istnieje laska specjalna, która sprawia, że bardzo młodzi ludzie, którzy życia jeszcze nie znają, wdychają, by móc zamknąć się w milczeniu i cierpieć najdotkliwsze braki; są oni tak szczęśliwi, iż życzą panu, aby podobne szczęście było pańskim udziałem, a jednak ich życie jest twardsze, niż pan przypuszcza; weźmy na przykład konwertów (braci nie będących kapłanami)."

„Niech pan pomyśli, że oddają się najcięższemu pracom, i że nie mają nawet tej pociechy, co ojcowie, by uczęszczać na nabożeństwa i brać udział w śpiewie; pomyśl pan, iż całą ich nagrodą jest Komunia, która jednak nie jest im udzielana zbyt często."

„Wystaw sobie pan teraz zimę tutaj. Chłód jest tu straszliwy; w tych budynkach zniszczonych, nie szczerze nie przystaje, wiatr przynika cały dom z góry na dół, marzną bez paliwa, śpią na tapczanach; i nie mogą się podtrzymywać wzajemnie, nie mogą dodawać sobie otuchy, ponieważ nie znają się prawie, wszelka zaś rozmowa jest im wzbroniona."

„Pomyśl pan również o tym, że nie słyszą nigdy serdecznego słowa, słowa, które by im ulgę sprawiło, lub krzepiło. Pracują od świtu do nocy, a gospodarz nigdy nie podziękuje im za ich gorliwość, nie powie nigdy dobremu pracownikowi, że jest z niego zadowolony."

„I zwróć pan na to uwagę, że latem, gdy dla zbiorów zajmują w sąsiednich wioskach ludzi, to ludzie ci spoczywają z chwilą, gdy słońce pali siola; siadają w cieniu stogów, bez kurtek i piży, o ile są spragnieni i jedzą, gdy głodni, konwersi zaś patrzą na nich w swym ciężkim odzieniu, nie przestając pracować, nie jedząc i nie pijąc. Pan przyzna, że trzeba krzepkich dusz, aby wytrzymać podobne życie!"

„Ależ — rzekł Durtal — Muszą istnieć dni wypoczynku, chwile w których reguła się rozluźnia."

„Nigdy; nie ma nawet, jak w innych klasztorach jednak bardzo surowych — na przykład u Karmelitanek — godzin rekreacji, w których zakonnik może śmiać się i mówić. Tu panuje wieczyste milczenie."

„Nawet gdy są zebrani w refektarzu?"

„Czytają wówczas konferencje Casien'a, Świętą Drabinę Climaque'a. Żywoty Ojców Pustyni, albo inną książkę pobożną."

„W niedzielę wstają o godzinę wcześniej, ale jest to istotnie ich dobry dzień, mogą bowiem uczestniczyć we wszystkich nabożeństwach, przepędzać cały dzień w kościele."

„Pokora, abnegacja, doprowadzona do tego stopnia są nadludzkie! — zawołał Durtal. — Ale, aby mogli oddawać się wyczerpującym pracom w polu, muszą im dawać pożywienie dostateczne?"

„Żywią się po prostu jarzynami, które nawet nie są tak przyrządzone, jak te, które nam podają, a zamiast wina, piją napój kwaskowaty i słodkawy, pozostawiający połowę osadu w szklance. Dostają kwaterek tego napoju, ale mogą dolać do niego wody, jeżeli są spragnieni."

„A ileż razy na dzień jadają?"

„To zależy — od 14 września do Postu jedzą raz tylko na dzień o godzinie pół do trzeciej — a podczas Postu dopiero o 4-ej. Od Wielkiejnocy do 14 września, w którym to czasie post cysterski jest mniej ścisły, jedzą obiad o pół do dwunastej i mogą spożyć do tego lekką kolację wieczorem."

„To straszne! pracować i w ciągu całych miesięcy jadać dopiero o drugiej popołudniu, gdy jest się na nogach od drugiej z rana i gdy się nie jadło w przeddzień wieczorem!"

„To też nieraz muszą pofolgować regule i gdy który z mnichów osłab-

nie, nie odmawiają mu kawałka chleba."

„Czy ojcowie prowadzą ten sam tryb życia?"

„Najzupełniej — służą oni przykładem, wszyscy przetykają to samo pożywienie i śpią w tej samej sali, na tych samych łózkach; równość panuje tu całkowita; jedynym ich przywilejem jest, że mogą śpiewać podczas nabożeństwa i otrzymywać częstsze Komunie."

Charakterystycznym jest, że w tym zgromadzeniu ascetów i teologów, najwyższym szacunkiem i aureolą świętości otoczony był najskromniejszy z konwertów, pełniący najniższe funkcje hodowcy świń, brat Symeon:

„W epoce, w której ludzie są wyłącznie zajęci myślami rozpusty i zysku, wydaje się być rzeczą nadzwyczajną ta dusza bez powłoki, ta dusza niewinna i obnażona tego dobrego mnicha. Liczy osiemdziesiąt lat i od swej wczesnej młodości prowadzi życie pierwotne Trapistów; nie wie prawdopodobnie w jakich czasach przebywa, pod jaką szerokością mieszka, czy znajduje się w Ameryce, czy Francji, bowiem nie czytał nigdy żadnego dziennika, a odgłosy z zewnątrz nie dochodzą nigdy do niego."

„Nie domyśla się nawet smaku mięsa i wina, nie ma żadnego pojęcia o pieniądzach, których nie zna ani wartości, ani wyglądu; nie wyobraża sobie wcale, jak zbudowana jest kobieta; jedynie z wyryków swych kiernozów i połogów swych macior zgaduje istotę i skutki grzechów cielesnych."

„Żyje sam skupiony w swym milczeniu, otoczony mrokiem, rozmyśla nad umartwieniami Ojców z Pustyni, o których mu czytają podczas jedzenia, a pod wrażeniem zacietrzewienia ich w postach wstydy się swego nędznego posiłku i wyrzuca sobie swój dobrobyt!"

I jeszcze jedno doświadczenie Durtala warto jest wzmianki, a mianowicie, że surowe życie zakonne, udział w którym choćby na jeden tydzień rekolekcyj tak go przerażał z obawy, jak mu zdola sprostać on, znieściałoby mieszczuch, cierpiący z byle czego na rozstrzyg żołądka i uporczywe neuralgie, wzmacnia nie tylko duchowo, ale i fizycznie: „nagiął się łatwo do twardego regulaminu, a pomimo szczupłości potraw, nie uskarżał się wcale na migreny, na żadne niedomagania, a nawet nie czuł się nigdy tak dobrze."

„Klasztor jest poniekąd prawdziwą plażą i płaskowzgórzem dla duszy. Atmosferę ma balsamiczną; siły w niej powracają, utracone łaknieniem Boga ożywia się; niedomagania ustępują; zdrowie powraca; tryb życia klasztorowy, wzmacniający i utrzymany na jednym poziomie, przeciwsta-

wia się słabości i ograniczoności praktyk w miastach."

I koniec jest inny, niż na świecie: „Gdy śmierć się zbliża — rzekł p. Bruno — ojciec Opat rysuje na ziemi krzyż z poświęconego popiołu, który pokrywają słomą, poczem kładą na nim umierającego w prześcieradle z grubego płótna."

„Bracia odmawiają przy nim modlitwy za konających, a w chwili, gdy kona, śpiewają chórem responsorium i Subvenite Sancti Dei. Ojciec opat okadza trupa, którego myją, gdy mniśi odśpiewają nabożeństwo za zmarłych w innej izbie."

Poczem wkładają na nieboszczyka jego szaty zakonne, odnoszą go z procesją do kaplicy, gdzie leży na noszach z twarzą okrytą do czasu pogrzebu."

„Wówczas zgromadzenie intonuje w pochodzie na cmentarz już nie śpiew za umarłych, psalmy bólu i prozę żalów, lecz In Exitu Izrael de Aegypto, pierwszy psalm wyzwolenia, hymn wesela."

Huysmans wyjaśnia szeroko w swej powieści rację bytu klasztorów kontemplacyjnych. Zadaniem ich jest poświęcenie się na ofiarę Bogu dla odkupienia grzechów ludzkich; co więcej, dla uprzedzenia grzechu, przeszkodzenia mu; zastępowanie swym cierpieniem osób zbyt słabych, które ani cierpieć, ani grzechowi oprzeć się nie umieją.

Patrząc jednak na klasztory kontemplacyjne z czysto laickiego punktu widzenia znajdujemy w nich praktyczny, wciąż żywo na oczach ludzkości stojący przykład radykalizmu społecznego, którego już w teorii nawet prześcignąć nie można. Cóż warte są wszystkie teorie społeczne i rewolucje wobec tego wielkiego przykładu!

„Świat nie pojmuje nawet — wklada Huysmans w usta opata — iż surowość opactw przynosi mu korzyść. Doktryna substytucji mistycznej jest dla niego całkiem niezrozumiała. Nie może nawet sobie wyobrazić, że substytucja niewinnego za winnego, wówczas, gdy chodzi o poddanie się karze zasłużonej, jest konieczna. Nie rozumie również, że chcąc cierpieć za innych, mnisi odwracają gniew Nieba i ustanawiają solidarność dobra, które równoważy federację zła. A Bóg wie jeden, jakimi kataklizmami byłby świat zagrożony, gdyby przez nagłe zniknięcie wszystkich klasztorów, ta równowaga, która go zbawia, zachwiana została!"

Nie minęło pół wieku od napisania tych słów, a świat pokrył się zamiast klasztorów kontemplacyjnych obozami koncentracyjnymi, od których musimy się uczyć tego, czego przez tysiące lat nie zechcieliśmy się nauczyć od zakonów. („Tygodnik Warszawski").

Dr KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

Adam MICKIEWICZ

O malarstwie religijnym

MALARSTWO chrześcijańskie przechowało aż do czasów Leona X charakter duchowy, równie daleki od zmysłowości starożytnych, jak od mechaniczności naszych nowoczesnych fabrykantów obrazów. Wiadomo, że pobożni malarze średniowieczni nie uważali bynajmniej sztuki swej za rzemiosło; zdaniem własnym i ogółu spełniali urząd do pewnego stopnia kapłański. Natychmiast czerpali w modlitwie, pomysłów do obrazów szukali w ewangelii, a modeli w świecie nadziemskim. Otóż ewangelia była wtedy historią powszechną i prawem pospolitym ludów. Istniał zatem czuły i stały związek między artystami a ludem, skoro i artyści i lud w tej samej wychowali się wierze i w tych samych tradycjach wzrosli. Owe niezliczone głowy Chrystusa, utworzone przez malarzów przeróżnych krajów i talentów, uznawano wszędzie i czczono, bo wszystkie miały, mniej lub więcej, ten sam charakter Boski i ewangeliczny¹⁾. To też powszechnie wierzą, że obrazy te były kopiami jednego autentycznego i cudownego obrazu²⁾. Anioły, unoszące się ponad ołtarzami i pod kopułami tumów, nie były

utworem dziwacznej fantazji; one wyrażały w oczach ludu rzeczywistość istotną. Nie będąc podobnymi do ludzi śmiertelnych, były one podobne jedne do drugich: wszystkie miały cechy niebiańskie, wspólne rysy niebiańskiej rodziny; kształty, ruchy, twarze tych nadziemskich istot były zupełnie zgodne z tym pojęciem, jakie sobie lud prosty o nich wyrobił z opowiadań ewangelicznych, z legend i z Dan-tego. Jak się udało artystom przedstawić takie pojęcia? Czy przeczuli ów świat zaziemski, czy może go zwiędzili? Jakże to było możliwe nakreślić podobne kształty, nie widziawszy ich pierwiej w zjawieniu? Powszechnie mówiono wówczas o zjawach, widzeniach — wierzono w nie. Nic zatem dziwnego, że gmin chrześcijański oddawał sztuce takiej część tej czci, jaką otaczał Boga i Świętych swoich. Niezdolny osądzić technicznej strony obrazu, gmin, uduchowiony przez religię, odczuwał to, co jest najwznioślejsze w sztuce: ideę obrazu, jego cel i doniosłość.

Tymczasem, dzięki współzawodnictwu malarzy, strona techniczna robiła szybkie postępy; niebawem zdawało się, że sztuka osiągnęła pod pędzlem Rafaela sam szczyt doskonałości. Arcydziała tego wielkiego mistrza są uważane za wzory sztuki chrześcijańskiej.

Równocześnie jednak zaczęła się ogólna reakcja przeciwko duchowi

1) Por. uwagi Lavatera o głowach Chrystusa. (Przyp. Poety).

2) Tradycja przypisywała ten obraz pędzlowi św. Łukasza, który stał się patronem sztuki. (Przyp. Poety).

Zaraz po minionej ostatnio wojnie w rozmaitych krajach Europy, zarówno wewnątrz, jak i nazewnątrz strefy sowieckiej, albo powstawały od nowa, albo się tylko z dawnych kształtów w potężniejsze formy reaktywowały — partie polityczne, które mocno zaakcentowały i wyraźnie postawiły na sztywność przymiotnik „chrześcijański.”

We Francji M.R.P. (Powszechna Partia Republikańska), założona w oparciu o hasła chrześcijańskie, urosła do potężnego stronnictwa, które przez długi czas miało rozstrzygający głos w swoim kraju na tle niespokojnej rywalizacji ugrupowań lewicowych pravicowych. Podobnie rysowała się sytuacja we Włoszech. Zaznaczył się silny wzrost znaczenia partii katolickich w Belgii i Holandii, a formujące się na nowo polityczne życie Niemiec, jako jedna z trzech głównych partii wysunęło Unię Chrześcijańsko-demokratyczną (w strefie sowieckiej — Partię Chrześcijańsko-demokratyczną), łączącą na wielu terenach zarówno katolików, jak i protestantów.

We wszystkich krajach, nad którymi Sowiety rozciągnęły dominację, strwożeni ludzie z całą gorliwością rzucili się w szeregi stronnictw chrześcijańskich, póki Moskwa nie potworzyła tym stronnictwom zarządów złożonych z komunistów przebranych za patriarchów chrześcijańskich. Co zresztą w sumie nie skończyło sprawy współczesnych ruchów chrześcijańskich, ale ją właśnie dopiero naprawdę zaczęło. Lecz to osobne zagadnienie i o nim dopiero w zakończeniu. Narazie jesteśmy przede wszystkim przy chrześcijańskich ruchach politycznych poza kręgiem sowieckiego samodziśwania.

Liczbowo i optycznie odbył się olbrzymi wzrost partii chrześcijańskich w Europie. Aż niepokoiła ta liczebność i ta spontaniczna łatwość szukania przez polityków ucieczki w lekceważonym dotychczas przymiotniku. Dla trochę uważniejszego obserwatora zaczęło nie ulegać wątpliwości, że wielu z tych gorliwców politycznych biegnie do chrześcijaństwa, jak do wygodnej zasłony, pod której szeroką kopułą będzie można wygodnie przykucnąć i przeczekać ulewę. Tłoczyli się pod ten koniunkturalny schron spore ilości ludzi, którzy nie chcieli iść na lewo, aby się nie dostać w nurt komunistyczny, ani nie chcieli się kierować na prawo, aby się nie narazić na zarzut „faszyzmu.” Stosownie do różnorodnego składu tej mieszanki chrześcijańskiej, odpowiednio „chrześcijańskie” były też nieraz i pociągnięcia polityczne tych partii. Premier i minister spraw zagranicznych z ramienia francuskiego M.R.P., p. Bidault, uznał rozbiór Polski przez Sowiety i narzucał jej rząd komunistyczny, systematycznie przemilczając wszystkie akty protestacyjne wolnych środowisk polskich, które upominały się o gnębiony, niewolony i męczony naród.

Józef KISIELEWSKI

W czasach zamieci

Tamy przeciw powodzi

Rozważania niniejsze nawiązują i stanowią część drugą uwag moich które zamieściłem w 31 numerze „Życia”, z zeszłego roku. Artykuł nosił tytuł „2.000 lat na 400 wierszach” i usiłował zarysować w najprostszych liniach drogę, jaką przebywała ludzkość w ostatnich dwóch tysiącach lat. Teza artykułu głosiła, że kilka wieków temu normalny rozwój kultury ludzkiej doznał zawikłania, prosta linia rozwoju zgięła się, a człowiek zaczął błąkać się, co czyni do dnia dzisiejszego, a którego to błąkania świadkami i dziedzicami jesteśmy wszyscy.

Teraz w cyklu rozważań przychodzi miejsce na rozważenie lekarstw i środków przeciwdziałania chorobie. Na początek wybieramy jedno z lekarstw, które przez wielu ludzi uważane bywa za skuteczne.

Czy jednak nie jest za słabe na tę wścieklą epidemię, która się na świecie rozchyla?

J.K.

Rozdrażnieni sukcesami Sowietów, politycy różnych proumiejscowości, zrzeszając się w tych partiach chrześcijańskich — wyobrażali sobie bieg rzeczy bardzo prosto. Raz jeszcze wygoda i łatwa polityczna próba wygrać sukces bez wysiłku, powierzchownymi zabiegami. Wyobrażano sobie, że mikstura letniego chrześcijaństwa pomoże do odrzucenia wielkiego sprzyśnięcia komunistycznego, gdy inne tradycyjne środki zawiodły. Niemalże spodziewano się, iż Papież stworzy na świecie jedną wielką partię chrześcijańską, da jej nieograniczone poparcie do walki z komunizmem, i nie kryto się z rozgoryczeniem, że taka partia nie powstaje. Liczono, że w taki oto łatwy, niemal mechaniczny sposób, nie zahaczając o stronę wewnętrzną treści, komunistyczny wypędzony zostanie z powrotem za linię Curzona (tak, ci chrześcijanie nie kłopotali się o to, że za tą „linią” dokonała się jedna z największych zbrodni przeciw religii od czasów przesładowań pierwszych chrześcijan) — zostawiając wolne pole znowu dla normalnych spraw, gier i kombinacji politycznych.

Na te polityczne partie chrześcijańskie zmuszeni jesteśmy patrzeć z sympatią i wyrozumiałością. Jakiegokolwiek bowiem błąd popełniają, jakiegokolwiek bądź powierzchownie rozumują, bez względu na to, kto się do nich dla względów koniunkturalnych przylączy — u ich podstaw i punktów wyjścia istnieją zasady bliskie i zrozumiałe. Niepokoi tylko właśnie owa lekkomyślna powierzchowność podchodzenia do wielkich zagadnień współczesności, oraz do samej istoty wielkiej sprawy chrześcijaństwa, którego imieniem naznaczono ruchy polityczne, jak egzorcyzmem w czas trwoży.

Chrześcijaństwo wszakże nie jest ani kamieniem magicznym, ani żadną lampą Alladyna, wykonującą posłusznie rozkazy człowieka. Chrześcijaństwo jest wielką treścią, która staje się ciałem, o ile człowiek daje jej swoje współdziałanie, swój trud, swoje siły,

swoją dobrą wolę, swoje wyrzeczenie się; jeśli z nią współdziała.

Niektórzy komentatorzy polityczni po ostatnich wyborach municypalnych we Francji, w których zaznaczył się pewien ubytek głosów M.R.P., czynili uwagę, że oto zaznaczył się odpych wielkiego przyływu religijnego, jaki zaraz po wojnie tak imponująco wzbierał. Ta diagnoza jest fałszywa. Świadczy o zupełnym nierozumieniu zagadnienia. Od samego początku było wiadomo, że te wszystkie partie chrześcijańskie — tak pojęte, jak pojęte były — nie spełnia, nie mogą spełnić pokładanych w nich nadziei i nawet nie są wskaźnikiem wzrostu sił chrześcijaństwa, które istotnie wzbiera.

Przed wszystkim wzrost idei chrześcijańskich nie może i nie musi wyrażać się tylko przez polityczne partie chrześcijańskie, czy katolickie. Było rzeczą charakterystyczną, że władze kościelne nigdy nie angażowały się w żadne ruchy polityczne, nie przeszkadzając im wreszcie działać. Zamykanie katolicyzmu do jednego ruchu politycznego zawsze uważano za jego ograniczanie. Nie kulminuje tendencja przewodników Kościoła w ambicjach politycznych i dziś. Powtórze, było z góry do przewidzenia, że ruchy te muszą zawieść ze względu na swoją zdawkowość i powierzchowność. Chciały by wszystko dostać, ale nie wzamian nie dać.

Zaraz po zakończeniu wojny nie było powszechnego zrozumienia, a nie ma go i dziś, że krokiem człowieka zabiegły drogę wielkie, zasadnicze, zwrotne problemy i że stoi on przed koniecznością nieuchronnego ich rozwiązania, albo katastrofy. Można było się ociągać, można było pozwalać sobie na próby, pomyłki i cofania dawniej, kiedy stopień ich zgęszczenia nie miał jeszcze złowieszkiej prężności, ale dziś ciśnienie w kotle historii zaczyna być większe od siły ścian naczyń, w którym się ona mieści. Zagadnienia są podstawowe, prężność

ich jest na krawędzi wybuchu. Do rozwiązania ich nie wystarczy najlepszemu nawet gatunku działanie polityczne typu dotychczasowego. Rzeczą idzie o zmianę podstaw filozofii, wyznawanej powszechnie i zmianę zasad samego organizowania życia ludzkiego. Stoimy w tej chwili w takim samym miejscu, w jakim stał 700 lat temu św. Tomasz z Akwinu, w tym gorszej sytuacji, że on miał konkretną wizję właściwie zorganizowanej społeczności ludzkiej, a my jej dotąd nie mamy.

Stoją więc przed nami problemy samych podstaw, na jakich ma się opierać życie i na jakich mają być budowane nowe jego formy. Żadna akcja, żaden ruch polityczny, czy ideowy, żadna reforma nie może uchodzić za poważną, jeśli nie te rzeczy będzie miała na celu. Zabawa w hasła, w jeszcze jedno głosowanie, w przygotowanie wojny — będzie tylko zalecaniem symptomów. To tak, jakby się chciało leczyć tyfus przez pocieranie jego płam na skórze chorego jodyną.

Dla rozwiązania naniesionych przez historię problemów zostały zgłoszone dwie oferty rozwiązań: jedna sowiecka, druga — eklektyczna i kompilacyjna — anglosaska. Żadne z tych dwóch zgłoszeń nie daje właściwego rozwiązania. Obydwa są w rzeczy samej kontynuacją okresu pomyłek i błędów, okresu rządów „czystego” rozumu i jego nieuchronnej konsekwencji — materializmu; w pierwszym, sowieckim wypadku, materializmu skrajnego, w drugim, anglosaskim, umiarkowanego i mniej dotkliwego. Ale obydwie są błędem. Do pięciu stuleci błędzenia miało by przybyć jeszcze co najmniej jedno! Do tyłu poronionych, próżnych prób miała by przybyć jeszcze jedna, tylko po to, aby się tak samo skończyć, jak tamta, i po to, aby nadrzęczyć człowieka jeszcze trochę!

Jest samonarzucająca się oczywistość, że próby rozwiązania muszą podjąć się chrześcijanie w ramach chrześcijaństwa. Ale w obliczu istniejących zadań nie mogą posługiwać się tak niedoskonałymi instrumentami, jakimi są w poszczególnych krajach polityczne partie chrześcijańskie. Owszem mogą te partie oddać te czy inne przysługi, ale nie powinny swym istnieniem przesłaniać podstawowej prawdy. One są defensywą. Świat przerobić może jedynie ofensywa. Ofensywa chrześcijańska.

Ofensywa oznacza wysiłek i pracę, odwagę i skupienie, myśl i uczucie. Żadna zdawkowość, powierzchowność, formalizm nie zdoła załatwić spraw. W politycznych ruchach chrześcijańskich tkwi jeszcze XIX stulecie, kiedy człowiek godził się ostatecznie używać chrześcijaństwa, jako ornamentu, ale nie chciał czerpać zeń treści i wkładać doń wysiłku.

Dochodzimy do konkluzji: chodzi o to, że musi być wniesiona w życie codzienne człowieka treść chrześcijaństwa. Taki jest w tej chwili cel polityczny człowieka mieszkającego na ziemi. Współdziałanie nieustannego wysiłku człowieka z treścią chrześcijaństwa jest cechą charakterystyczną i znamię, pod którym może się dokonać ochronienie naszej cywilizacji przed katastrofą, a które — miejmy nadzieję — rozprzestrzeni się na cały świat ludzi, rzeczy i zdarzeń.

Jeszcze jedno. Chcę być daleki od stronnictwozności i przesadnej dumy narodowej, ale wydaje mi się, że te niełatwe tendencje i nieodczuwaności są nie tylko postulatem, ale już tu i ówdzie usiłują się urzeczywistnić, stać się ciałem. Usiłują urzeczywistnić się między innymi również i w Polsce.

Bo w krajach okupowanych przez Sowietów było tak: zrazu powstały, jak wszędzie, polityczne ruchy chrześcijańskie. Komuniści rychło ukreślił im kręgosłup. I wówczas nurty chrześcijańskie, oczyszczone już ze wszelkich nalotów aktualnej polityki, zaczęły się chronić w sam rdzeń chrześcijaństwa, w jego najczystszy treść.

Anderson, autor książki „Co widziałem w Polsce,” napisał, że Polska będzie albo miejscem zagłady całego narodu, albo brząskiem nowej epoki. A dziennikarka F. Bruce-Lockhart po zwiedzeniu wielu krajów europejskich ujęła sprawę w ten sposób: To przez Polskę biegnie front walki o cywilizację ludzką!

średnich wieków i ich dziełom, to jest przeciw chrystianizmowi. Rozmaite przyczyny, działające razem na opinię ogółu i upodobania malarzów, wzniewiły w jednolitej dotychczas sztuce żywioły różnorodne, a rozkładowe.

Już naczelnicy Kościoła, który stał się panem świata, poczuli ulegać wpływowi swego wysokiego stanowiska. Usadowieni na ruinach Kapitolu, w obliczu pomników wielkości pogańskiej, zapragnęli papieża umieścić Boga w świątyni, godnej Jowisza, i otoczyć swój tron świetnością konsulów i imperatorów. Już używali pieniędzy chrześcijańskich na ten cel światowy; wnet się zwrócili ku talentom chrześcijańskim. Malarze wyszli tłumami z zakonów i bractw, przenieśli swe pracownie do pałaców papieża, kardynałów, książąt i sztuka zaczęła się sekularyzować.

Podziw dla zabytków sierożności głoszonej przez papieżów podniecany przez uczonych i erudyty, stał się modą, monomanią epoki. Przepłacano, odnawiano, szukano posągów i płaskorzeźb. W tym celu urządzano ruiny świątyni i cyrków, otwierano grobowce. Wywoływano ducha pogaństwa, i duch pogaństwa posłuszny był nowym czarodziejom. Nieznanie zjawiał się znowu na wzgórzach i ulicach Rzymu cały Olimp z marmuru i brązu, cały tłum posągów. Dwa światy, dwie sztuki stanęły przeciw sobie, gotowe do walki. Sztuka chrześcijańska z niebios, zda się, zstąpiła, jak nowe Jeruzalem, niesiona przez aniołów i świętych, rozszerzała się po ziemi; zanim ją jednak pokryła pogańska sztuka zmartwychwstała, z

otchłani wyszła na kształt potwora o stu głowach bogów nimf i półbogów.

Ci bogowie, tacy dumni i tacy piękni, obnażając swe ciała jędrne, tworzyli dziwne przeciwieństwo z przezroczytymi i leciuchnymi kształtami aniołów i świętych. Te nimfy i półbogi w całej swej zmysłowej piękności i muskularnej sile, zdawały się kusić i wyzywać czystość dziewic chrześcijańskich, męczenników pokorę i ascetyczną chudość zakonników.

Tak bogate wykopaliska, przedmioty tak nowe nęciły ku sobie wrok, czarowały wyobraźnię. Michał Anioł, którego posępna i dumna dusza odczuwała silnie pogańską starożytność, nie mógł już oderwać wzroku od oblicza Jowisza, od torsu Herkulesa. Stał się naprzekór samemu sobie naśladowcą Greków. Rafael, wrażliwszy i czulszy, ale też słabszy i bardziej zmysłowy, zachwycał się Apollinami i Wenerami. Pod wpływem tego przejścia się zmienił dawniejszy swój sposób malowania. Stała się nadształ formom więcej krągłości i miękkości, kolorystowi więcej blasku. Zapomniał z wolna nauk owego czystego i spokojnego ducha, który natchnieniem go darzył w pracowni Perugina i w klasztorze Sieny. Ani słowa — wydoskonalił techniczną stronę malarstwa, stworzył obrazy, tryskające życiem i prawdą, prawie że namacalne, tylko prawda ta była coraz bardziej

7) W podeszłych latach wyrzucił sobie gorzko wielki artysta swoje balwochwalczo przed złotym (jak go nazywał) cielcem. Por. jego Sonety. (Przyp. Poety).

materialna. Jego Madonny nabrały wyrazu Fornariny, a jego apostołowie wyrazu filozofów greckich.

Obok Rzymu, Rzeczpospolita wenecka wrosła w potęgę, jaśniała bogactwem i przepychem. Ten potrojny charakter Wenecji wywarł swój wpływ na jej pomniki. Artyści wśród miasta swobodnego a zmysłowego zamakowali w polityce i zabawach. Zaniedbali Ewangelie na korzyść historii narodowej i współczesnej. Na obrazach w Palazzo Ducale czapka doży dominowała w grupach historycznych i zastępowała krzyż. Portrety wielkich panów i pięknych pań wtarły do obrazów ze Starego i Nowego Testamentu; złotogłów i jedwabne szaty okryły ciała świętych i wydały się bardziej malowniczymi, niż proste sukno dawnych mistrzów. Wenecja tym sposobem stworzyła obrazy historyczne, rodzaj pośredni między sztuką religijną a malarstwem, które zwą niewłaściwie rodzajowym.

Podczas, gdy duch pogaństwa nurtował z cicha grunt rzymski, i kiedy duch miejscowy włoskich miast mieszał swe natchnienie do natchnień Ewangelii, inny, nierównie groźniejszy wróg godził na średnie wieki z tamtej strony Alp. Był to duch reformacji, który podobien smokowi św. Jana, spadł nagle na Niemcy, paląc połowę ziemi i zatruwając źródła połowę. Reformacja zniszczyła poezję obrzędów religijnych, przecięła dopływ, które żyły sztukę, łącząc ją z niebem. Odtąd artyści mieli opuścić świątynię. Rozproszeni po

DOKOŃCZENIE NA STR. 8

JÓZEF KISIELEWSKI

Diecezja warszawska ma 150 lat

WZWIĄZKU z jubileuszem diecezji warszawskiej czytamy niemiernie interesujący artykuł historyczno-informacyjny w noworocznym „Tygodniku Warszawskim”:

W 1948 r. upływa 150 lat, jak papież Pius VI przebywając w klasztorze Kartuzów pod Florencją, ogłosił światu bullę dnia 16 października 1798 r., ustanawiając diecezję warszawską.

Było to wydarzenie o wielkim znaczeniu. Stolica bowiem Polski, wraz z najbliższymi okolicami podwarszawskimi, czyli t. zw. dotąd archidiecezją warszawską, albo mazowiecki, stała się odąd oddzielną częścią organizacyjną Kościoła powszechnego, z własnym ordynariuszem na czele, wprost bezpośrednio podległym papieżowi.

Mówi to wiele o szczególnej trosce Stolicy Apostolskiej w stosunku do Warszawy, która w czasach porzobiorowych nie przestała odgrywać roli serca narodu polskiego, tym bardziej bijącego tętnem życia w okresie ucisku i niewoli, im więcej nieszczęść uderzało w Polskę.

Warszawa do owego momentu wyniesienia na stopień diecezji podlegała jurysdykcji biskupów poznańskich, którzy zdawali sobie sprawę oddawna ze znaczenia i powagi podległej im stolicy polskiej i dlatego od blisko 100 lat tytułowali się biskupami poznańskimi i warszawskimi.

Ale to jeszcze niczego nie mówiło o koniecznym utworzeniu diecezji warszawskiej. Dopiero bulla papieska Piusa VI określiła wyraźnie pozycję Warszawy w Kościele katolickim w Polsce.

Trzeba podkreślić, że wydał tę bullę papież Pius VI, który jeden jedyny z ówczesnych czołowych postaci Europy śmiało potępił, jako akt nieetyczny w polityce światowej, rozbiory Polski.

Już u kolebki powstania diecezji warszawskiej światała myśl unii Gniezna z Warszawą. Zanim jeszcze Rzym wypowiedział swoje zdanie na temat utworzenia diecezji warszawskiej, już prymas Michał Poniatowski zabiegał o połączenie Warszawy z Gniezmem w osobie wspólnego ordynariusza. Następny arcybiskup gnieźnieński, Ignacy Krasicki, zaraz po rozbiorach Polski o to samo zabiegał u Stolicy Apostolskiej. Wreszcie III-ci z kolei arcybiskup gnieźnieński, Ignacy Raczyński, także same starania robił już po akcie kanonicznego utworzenia diecezji warszawskiej, a nawet unii Gniezna z Warszawą w praktyce przeprowadził za czasów Księstwa Warszawskiego.

I byłaby ta próba utrwalona raz na zawsze, gdyby nie rozbiór Księstwa Warszawskiego i w następstwie odłączenie Wielkopolski z Gniezmem pod panowanie pruskie. Wówczas Gniezno połączyło się unią z Poznaniem, nie mogąc z powodu rozbiorów Polski pozostać w unii z Warszawą.

Realizatorem tej idei historycznej okazał się dopiero obecny Prymas Polski, Jego Eminencja Ks. Kardynał August Hlond. To, czego nie dane było w historii trzem poprzednikom na stolicy św. Wojciecha uskutecznić, to wykonał dzisiejszy Arcybiskup Gnieźnieński i Warszawski.

Niejednego zdziwi, że stosunkowo tak późno Warszawa otrzymała swoją organizację diecezjalną.

Otóż według najstarszych notatek archiwalnych przed oficjalnym przyjęciem chrześcijaństwa przez Mieszka I, chrześcijaństwo na Mazowszu było bardzo silnie rozwinięte, z językiem liturgicznym słowiańskim, tylko o charakterze samodzielnym, jeszcze nie zdecydowanym czy pójść pod względem organizacyjnym za Rzymem, czy też za Konstantynopolem. Nawet i wtedy, gdy za Bolesława Chrobrego powstało arcybiskupstwo i metropolia w Gnieźnie, Mazowsze było jeszcze nie zdecydowane pod względem organizacji chrześcijaństwa, na którą stronę ma się przechylić. Niezawodnie istniała tu na Mazowszu z wędrownym metropolitą druga metropolia chrześcijaństwa w Polsce, ale obrządku słowiańskiego. Kilka biskupstw z prawej strony Wisły również do nie należało.

Dopiero król Bolesław Śmiały sprawę organizacji chrześcijaństwa na Mazowszu rozstrzygnął tak, jak ona pozostała aż do rozbiorów Polski i do utworzenia odrębnej diecezji warszaw-

skiej. A mianowicie monarcha ten dla współczesnego Mazowsza założył i uposażył za aprobatą papieską biskupstwo zachodniego obrządku w Płocku, południowe Mazowsze z Warszawą i Czerskiem oddał, celem późniejszego zorganizowania nowej diecezji, biskupom poznańskim, a zachodnie Mazowsze oddał, celem również zorganizowania III-ciej diecezji obrządku zachodniego na Mazowszu, arcybiskupom gnieźnieńskim.

Biskupi poznańscy stopniowo, jak pamięć na Mazowszu o obrządku słowiańskim zamierała, zorganizowali archidiecezję czerską, czyli późniejszy warszawski, albo inaczej zwany mazowiecki i ten administracyjnie włączyli do diecezji poznańskiej.

Arcybiskupi zaś gnieźnieńscy zorganizowali na zachodnim Mazowszu t. zw. archidiecezję łowicką i również go włączyli administracyjnie do swojej archidiecezji gnieźnieńskiej.

Skoro Warszawa z biegiem historii nabierała coraz większego znaczenia w Polsce, stan wytworzony już wiekami historii utrzymał się aż do rozbiorów Polski. Biskup poznański mieszkał w Warszawie, jako ordynariusz miejscowy, arcybiskup zaś gnieźnieński rezydował w stolicy Polski, jako jej metropolita i prymas Kościoła polskiego przy centralnych władzach Rzeczypospolitej.

Utworzenie przeto odrębnej diecezji warszawskiej w 1798 r. nie było bynajmniej wymierzone przeciwko inte-

resom arcybiskupów gnieźnieńskich. Lecz owszem wydarzenie to nastąpiło okazję stworzenia wygodnej dla ich posłannictwa dziejowego unii Warszawy z Gniezmem na równi dwu połączonych osobą wspólnego arcybiskupa diecezji. Gniezno posiadało prymat historyczny starszeństwa, Warszawa zdobyła w ciągu wieków wśród innych miast polskich prymat aktualnego znaczenia i powagi, jako serce narodu polskiego.

Z okazji więc dzisiejszej unii Gniezna z Warszawą, tym godniej wypada nam uczcić wspomnieniem przypadającą w 1948 r. jubileusz 150-lecia utworzenia diecezji stołecznej w Polsce.

W.K.

KRONIKA

P O L S K A

„WOLNOMYŚLICIELE WARSZAWSKIEGO CHOWU”

Organ polskich wolnomyślicieli *Głos Wolnych* (od rozumu) zażądał w numerze listopadowym, by zabronić obywatelom polskim wstępować do seminariów duchownych „aby nie byli w nich tresowani i szkoleni na przyszłych warcholów i mącieli normalnych stosunków w państwie własnym, na renegatów polskości i zdrajców swego narodu”.

„Głos Wolnych” twierdzi także, że Episkopat Polski ogłasza „kłamliwe, oszczercze i buntownicze odezwy”.

NOWE WOJSKO W POLSCE

Zdemobilizowani żołnierze w odpowiedzi na ankietę „Polski Zbrojnej” (332) piszą: „Gdy odejdę do cywila, będę wiedział, jak żyć, by być prawdziwym obywatelem, takim, jakiego Polsce Ludowej potrzeba.” Inny: „Żołnierz armii przedwrześniowej był ślepy narzędziem w rękach rządu sanacyjnego. Nie wiedział, co dzieje się we własnym kraju i nie miał prawa głosu w wyborach do Sejmu.” Inny: „Rozumiem teraz różnicę między żołnierzem armii przedwrześniowej i naszej. Tamten był tylko ślepy narzędziem w rękach kapitalistów i obszarników.” Inny: „Poznałem broń, nauczyłem się bić wroga, lecz najważniejsze — poznałem właściwą drogę, jaką kroczy nasz Rząd, i jestem pewny, że polityka jego nie zawiedzie nas.”

W artykule o otwarciu Wyższej Szkoły Wojennej pisze krakowski „Dziennik Polski” (343): „U podstaw szkolenia leżą konspiracyjne szkoły Gwardii Ludowej i polskie szkoły oficerskie na gościnnej ziemi radzieckiej... Wykładowcami W. Sz. W. są najlepsi specjaliści, także Czerwona Armia oddała do dyspozycji swoich najlepszych fachowców.”

Z okazji zakończenia kursu w Wyższej Szkole Oficerów Polityczno-Wychowawczych pisze „Polska Zbrojna” (335) o jej absolwentach: „Wiedza, co to nienawiść strzelającej z za węgla reakcji, rozumieją, jakie niebezpieczeństwa niesie z sobą kapitalistyczny „liberalizm,” znają groźbę rosnącego na zachodzie anglosaskiego imperializmu, będą więc umieli mobilizować wokół słusznej sprawy masy żołnierskie.” Jeden z absolwentów szkoły pisze („Pol. Zbr.” 336): „Jak drogę są nam tradycje walk AL-owców wymordowanych w lasach Borowskich i pamięć po robotnikach chodakowskich, którzy zginęli od kul rodzimych faszystów, tak bliska jest nam walka narodu greckiego czy francuskiego z imperializmem. My w tej walce z międzynarodową reakcją bierzemy i brać będziemy czynny udział przez przyczynianie się do jak najszybszego, wszechstronnego wzrostu potęgi Polski Ludowej.” O absolwentach szkoły pisze „Polska Zbrojna”: „Są w tej chwili jak rozpalone od kowalskiego młota żelazo.”

POMNIK GEN. ŚWIERCZEWSKIEGO ze spiżu stanie w Wrocławiu na cokole zniszczonego pomnika Wilhelma II. Postać główną otaczać będą żołnierze polscy, sowieccy i partyzanci. Kosztorys wynosi 20.000.000 zł.(1)

NA WIECU MŁODZIEŻY w Wrocławiu przemawiał m. in. delegat Ligi Młodych Komunistów Angiel-

skich, Bon Leve, oświadczając: „Młodzież angielska stanie po stronie walczących o demokrację narodów, Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii i Jugosławii.” Po wiecu złożono wieniec na cmentarzu żołnierzy sowieckich.

KORPUS DYPLMATYCZNY W WARDZAWIE, jak donosi korespondent „Observera” (28.12), poddany zostanie czystce na życzenie rządu polskiego, którego zdaniem jest on w dużej części wrogi. Dowodzą tego wypadki w poselstwie belgijskim i szwedzkim. Proces Marynowskiej wykaż, że Mikołajczyk uciekł przy pomocy ambasady amerykańskiej. Pierwszymi na liście, niepożądanych dyplomatów, są bryt. attaché wojskowy, płk. Gimson i jego zastępca, mjr. Winton, których nazwiska wbrew zwyczajom międzynarodowym wymieniono na procesie o szpiegostwo. Jeśli sami nie wyjadą, rząd polski zażąda ich odwołania. O samym ambasadorze, Sir Donaldzie Gainerze, mówi się przyjaźnie, ale należy on do niewielu wyjątków. Większość członków ambasady brytyjskiej ma trudności w kontaktach z polskimi przywódcami, a także z komunistami, którzy mają głos decydujący w polskiej polityce zagranicznej.

Ambasada USA ma sztab trzy razy liczniejszy niż brytyjska, ale jeszcze bardziej utrudniony kontakt z przywódcami polskimi. Następca Bliss Lane'a nie jest uważany za przyjaciela, a niektórych jego współpracowników już poproszono, by wyjechali.

W ogóle przedstawiciele dyplomatyczni innych państw poza blokiem sowieckim, są uważani za potencjalnych wrogów i odpowiednio traktowani.

Natomiast Rosjan, Jugosłowian, Czechów, Bułgarów, a do pewnego stopnia Rumunów i Węgrów uważa się za przyjaciół. Rosjan zaprasza się nie tylko na uroczystości oficjalne, ale i do domów ministrów i zabrania partyjne, gdzie podejmuje się ich hojną gościnnością. (IP)

O EMIGRACJI

O emigracji pisze „Gazeta Ludowa” (344), że jest zawsze „oznaką choroby i klęsk dla narodu. Wszystkie emigracje polskie, w okresie stuletniej walki o niepodległość, były naszym nieszczęściem. Traciliśmy ludzi najgoręcej kochających ojczyznę, najofiarniejszych w pracy, przodujących w walce.” Odnosić obecnej emigracji — „nasuwa się pytanie, dlaczego tylko część powraca, a tak wiele pozostaje.” Zdaniem dziennika „część obecnej emigracji ma charakter polityczny, to ci, którzy zwalczają dzisiejszą rzeczywistość polską w oparciu o echa emigracyjnego rządu, to ci, którzy zgodnie z nastrojem przedwojennym byli przeciwnikami Rosji Radzieckiej. Ilość tych ludzi jest niewielka, przesadnie można ją ocenić na 10—15 tysięcy ludzi. Lepiej, że nie zracają. Działalność ich nigdy nie budziła uznania w społeczeństwie, są przypadkowym zlepkim sprzeczności, który wiąże jedynie wspólna postawa opozycyjna.” Natomiast inni nie wracają, ponieważ „są zatrzymywani,” mianowicie moralnie. Oni to, zdaniem dziennika, powinni wrócić, ponieważ „nie zaangażowali się politycznie,” powinni wrócić „niezależnie od tego, czy im się panujące w kraju stosunki podobają, czy nie podobają.” (IP)

MIESZKANIA SŁUŻBOWE

„Życie Warszawy” (340) pisze: O bok zagęszczonych do ostatnich granic lokali w domach, podlegających kwaterunkowi, istnieje w Warszawie znaczna ilość t. zw. mieszkań służbowych. W okresie najgorszego głodu mieszkaniowego, mimo bezdomności i rozpaczliwej sytuacji tysięcy ludzi, gnieźdzących się w ruinach i lepiankach, mieszkania służbowe cieszą się nadal nietykalnością, a ich lokatorzy nie podlegają żadnym normom. Jest faktem stwierdzonym, że w domach służbowych znajdują się lokale 4 — a nawet 5 — pokojowe, które zajmują rodziny (przeważnie wyższych urzędników), złożone z 2 lub 3 osób. Nadto urzędnicy, którzy przenoszą się do tych domów, odsprzedają swe poprzednie mieszkania „przedstawicielom zasobnej w gotówkę inicjatywy prywatnej.” W teorii dla mieszkań służbowych istnieje norma: 2 izby dla rodziny nie przekraczającej 4 osoby, 3 izby dla rodziny większej, 1 izba dla lokatorów samotnych. Ostatnio pojawił się okólnik, przypominający te normy, a specjalny inspektorat ma czuwać nad ich wykonaniem.

W PROCESIE WARSZAWSKIM jeden z oskarżonych (Sędziak) przyznał, że istniały wytyczne, jak się zachować na wypadek wojny brytyjsko-sowieckiej. Zalecano stosowanie sabotażu, uchylanie się od poboru wojskowego i dezercję, oraz likwidowanie przyspuszczalnych „aktywistów wojennych.”

150.000 KG. ZŁOTA i kosztowności zrabowali według „Głosu Ludu” (342) w Polsce Niemcy. Z rekwizycji wysłano do Reichsbanku 6.000 kg złota, z Oświęcimia 6.000 kg złotych zębów, Globocnik, lubelski gubernator, wysłał do połowy r. 1943 przeszło 5.000 kg monet złotych i zębów, 49 kg pereł, 130 wielkich brylantów, 16.000 pierścieniów z kamieniami, 13.000 zegarków. Zdaniem dziennika — złoto to opanowały zachodni alianci i nie chcą go sprawiedliwie rozdzielić. Są księgi Reichsbanku, w których możnaby ustalić zasadę podziału, ale Amerykanie nie dopuszczają do tych ksiąg nikogo. Ostatecznie państwa zachodnie postanowiły, że złoto monetarne będzie rozdzielone między poszkodowanych, natomiast niemonetarne pójdzie na pomoc dla D.P. Tym samym — powiada dziennik — opieka nad obozami D.P. będzie opłacana zębami, wyrwanymi w Oświęcimiu i Treblince, a mieszkańcom tych obozów „wygodniej jest z tego złota żyć w Niemczech, niż wracać do swych krajów.”

WCZESNOPOLSKI GRÓD

W roku bieżącym rozpoczyna się prace wykopaliskowe nad wczesnopolskim grodem w Opolu. Na gród ten natrafili Niemcy w r. 1932, kopiąc fundamenty pod zburzonym przez siebie zamkiem piastowskim. Odkryto wówczas 9 warstw kolejno budowanych osad, zalewanych przez Odrę lub ulegających pożarowi. Na głębokości 5—7

POLACY ROZPROSZENI NA OBCYZYŃNIE — ZGINĄ WŚRÓD OBCYCH. POLACY ZJEDNOCZENI — STWORZĄ SOBIE LEPSZĄ PRZYSZŁOŚĆ. CEMENTEM TEJ JEDNOŚCI JEST POLSKA MOWA. PAMIĘTAJ, ŻE NA STRAŻY OJCZYSTEGO JĘZYKA — STOI FUNDUSZ OŚWIĄTY POLSKIEJ ZAGRANICĄ! (28, BEAUFORT GDNS, LONDON, S.W.3.).

metrów wykopano 7 równoległych ulic, pokrytych przeważnie bierwionami, jako brukiem i przeciętych pod kątem prostym ulicami poprzecznymi. W prostokątach, wytworzonych przez ulice, znajdowały się resztki domów, których izby w warstwach niższych mierzyły 8 x 8 metrów, a w warstwach górnych zmniejszały się do 4 x 4 metry. Domy miały przeważnie podłogi z desek, paleniska z boku izby i wiele sprzętów domowych, jak ławy, rzeźbione łoża, stolki i krosna, tak zwane poziome, spotykane jedynie w dawnym Rzymie. Osada posiadała wysoko rozwinięte rzemiosła — ciesielkę, kłodziejstwo, bednarstwo, tokarstwo, a zwłaszcza tkactwo.

Ustalono, że mieszkańcy grodu zajmowali się sadownictwem, co było rewelacją dla Niemców, głoszących, że znajomość tej sztuki przyniósł do Polski osadnicy niemieccy znacznie później. Wiek wykopalisk określili Niemcy na X—XIII. O fakcie odkrycia podali bardzo skąpe publikacje, a wykopaliska zasypali, by nie dopuścić do dalszych badań ze strony obcych uczonych. (IP).

UNIwersYTET WARSZAWSKI liczy 7.460 studentów, z czego na wydziale humanistycznym 1.880, prawnym 1.873, lekarskim 1.507. Najmniej studentów, bo 20, liczy fakultet teologii ewangelickiej. Procent kobiet dochodzi do 50, na farmacji wynosi 74,9. Młodzieży pochodzenia wiejskiego jest 17,5%, robotniczego 28,7%, z inteligencji pracującej 53,8%. Ze stypendiów korzysta 930 studentów.

O WZMOŻONYM WYJEŻDZIE ŻYDÓW z Polski donosi prasa palestyńska. W ciągu miesiąca wyjechało ich 1.500. Około 4.000 wyjeżdża w najbliższym czasie. Polska i czeska straż graniczna patrzy na tę wędrówkę przez palce. Wybiera się wielu Żydów — oficerów i podoficerów polskich. Początkowo władze wojskowe nie godziły się na ich zwolnienie, motywowane tym, że chcą służyć w armii palestyńskiej. Obecnie nie robi się już trudności. Niektóre fermy chalurowe zwinęto, bo wszyscy członkowie wyjechali. Żydzi mówią: „Nie ma już miejsca dla nas w Europie. To, co się obecnie dzieje w Europie, choć chwilowo nie dotyczy Żydów, jasno wskazuje, że wkrótce granice zamkną się hermetycznie, od strony bloku sowieckiego i od strony bloku anglosaskiego. A Żydzi nie chcą już cierpieć za zamkniętymi granicami.

RADIOODBIORNIK 5-lampowy z fabryki w Dzierżoniowie kosztuje 42.000 zł.

ZAKŁAD dla nerwowo chorych w Batowicach pod Krakowem, przejęty przez miasto, przekształcony został na przytułek dla 150 starców.

NA GRUŻLICĘ umiera w Polsce rocznie około 60.000 ludzi. Pod tym względem wśród 31 państw europejskich Polska zajmuje 2-gie miejsce (po Jugosławii), mając śmiertelność 8-krotnie wyższą, niż w Danii i USA. W Polsce najgorzej przedstawia się sytuacja w Warszawie. Na 52.000 dzieci, poddanych próbie Pirqueta, wynik pozytywny stwierdzono u 55,8%. Wśród dorosłych na 75.000 zbadanych zaważansowaną gruźlicę stwierdzono u 3.160.

DOMY TOWAROWE zostały w Polsce wyodrębnione jako przedsiębiorstwa państwowe. W grudniu ich ilość zwiększyła się z 33 na 54, z końcem r. b. ma być ich 150. Dotąd przebudowywano je z dawnych lokali Państwowej Centrali Handlowej, obecnie buduje się je od podstaw. Największy z nich, w Wrocławiu, kosztować będzie 220 milionów zł. Ich koszty handlowe wahają się od 4—9%, zysk brutto od 15 do 21%. Sprzedają one obecnie artykuły żywnościowe, wyroby konfekcyjne, buty amerykańskie, futra z Węgier, zabawki i tanie serwisy. („Głos Ludu”, 342).

MONOPOL SOLNY ma przynieść w bieżącym roku budżetowym 250 milj. zł., tytoniowy — 20,8 miliarda zł., spirytusowy — 47,3 miliarda, zapalczany — 950 milionów.

OBIADY POPULARNE muszą wydawać restauratorzy w kraju po cenie (w Warszawie) 70 zł. Konsument winien mieć do wyboru co najmniej 2 zupy i 2 drugie dania, w tym najmniej 10 dkg mięsa.

2 HOTELE w Warszawie, po jednym w Szczecinie, Gdańsku, Sopocie i Katowicach wybudować ma towarzystwo akcyjne Polonii Amerykańskiej, dysponujące kapitałem 5 milionów dolarów.

Pamiętaj o dzieciach polskich w Niemczech. Potrzebują naszej pomocy!

10.000 PACZEK AMERYKAŃSKICH uległo zupełnemu zniszczeniu skutkiem pożaru na statku amerykańskim, płynącym do Gdyni.

LASY JODŁOWE skutkiem rabunkowej gospodarki okupanta i szkowników uległy w zachodnich Karpatach zniszczeniu. Przed Świętami wydano zakaz wycinania jodeł na choinki. Sprzedawca wolno tylko świerki.

PRAWO SPADKOWE z 8.X.1946 przewiduje, że nie podlega opodatkowaniu spadek do 500.000 zł, przypadający dzieciom, małżonkom, wnukom i prawnukom. Do wartości spadku nie wlicza się sprzętów, pościeli, odzieży, narzędzi pracy i inwentarza, jeśli ich wartość nie przewyższa dla każdego spadkobiercy 100.000 zł.

WCZEŚNIE ZACZĘLI W Lipniu urząd stanu cywilnego odmówił ślubu parze, w której on liczył 17 lat, ona 15, jakkolwiek „narzeczeni” legitymowali się dzieckiem. Dziecko to zapisane zostało w metryce w ten sposób, że gdy rodzice dojdą do wieku, umożliwiającego zawarcie małżeństwa, otrzyma prawa dziecka ślubnego.

FRANCJA

WIELKA DYSPENSA

Ciężkie wskutek następstw wojny warunki materialne i wyżywienia skłoniły Papieża do udzielenia klerowi i wiernym we Francji specjalnych ulżyć przez zwolnienie ich w części od obowiązujących w Kościele przepisów dotyczących odprawiania mszy i przjmowania Komunii św. naczcho. Po raz pierwszy takie przepisy były wydane na czas wojny, obecnie jednak okazało się, że warunki powojenne i trudności ludności we Francji wymagają nowych dyspens.

Chodzi tu głównie o to, że ludność pracująca i wojsko muszą nieraz brać udział we mszy św. odprawianej w godzinach wolnych od pracy, a więc niejednokrotnie b. późno, lub nawet po południu.

A zatem księża, którzy odprawiają mszę św. po godz. 9 rano i ci, którzy na niej przystępują do Komunii, mogą przyjmować napoje niealkoholowe na godzinę przed mszą lub Komunią. Ta sama ulga przysługuje księżom i świeckim, jeżeli msza lub Komunia jest przed godz. 9, ale przed mszą muszą wykonywać jakąś pracę, lub mają długą drogę do kościoła. (Zastrzeżenie, że napój ma być niealkoholowy odnosi się do wina, które stanowi zasadniczą część posiłków we Francji).

Wobec tego, że wielu księży we Francji obsługuje więcej niż jedną parafię, a często trzy lub nawet cztery, biskupi francuscy mogą upoważnić księży do odprawiania w niedzielę i święta dwu lub trzy mszy i to nawet po południu, jeżeli odległości lub inne warunki tego wymagają. W takim razie kapłani na trzy godziny przed każdą z mszy mają się powstrzymać od jedzenia, a od picia napojów niealkoholowych na godzinę przed mszą. Biskupi francuscy mają złożyć Ojcu św. sprawozdanie, w jakiej mierze i z jakim skutkiem jeśli chodzi o cele pracy duszpasterskiej, korzystano z tych ulg w ciągu 12 miesięcy, na które zostały wydane.

Ulg takie nie są nowością w Kościele. Dawał je już poprzednik obecnego Papieża Pius XI, ujmując je w dekrete św. Kongregacji Obrzędów w r. 1923. W roku zaś 1935 papież ten wydał pozwolenie na odprawianie bez przerwy mszy w ciągu 72 godzin w czasie uroczystości w Lourdes, kończących Rok Święty. Podobnie odprawiano bez przerwy msze w czasie ostatniego Kongresu Mariańskiego w Ottawie. W marcu 1947 Kardynał Griffin, Prymas Anglii, otrzymał od Ojca św. ulgi dla marynarzy, pragnących przyjmować Komunię o rozmaitych porach dnia.

HISZPANIA

CZY WNET BĘDZIE OGŁOSZONY NOWY DOGMAT ?

W Hiszpanii odbył się z końcem listopada i początkiem grudnia b.r. zjazd międzynarodowy, którego zadaniem było poczynienie starań o ogłoszenie szczegółów o śmierci i Wniebowzięciu Matki Bożej, jako dogmatu Kościoła Katolickiego. Inicjatywę podjęli OO. Assumpcjonści i OO. Franciszkanie, a poparli ją Socjaliści Mariańskie na całym świecie.

Udział w pracy kongresu wzięli wybitni teologowie.

Jak wiadomo od najwcześniejszych czasów chrześcijaństwa panuje powszechne przekonanie, że ciało N. M. Panny niedługo po Jej śmierci zostało wzięte do nieba, gdzie znów połączyło się z Jej duszą. Kongres w Hiszpanii wydał teraz opinię, że „wiara Kościoła Nauczającego i Wojującego daje dostateczne podstawy, aby z całym zaufaniem przystąpić do dogmatycznego określenia Wniebowzięcia N. M. Panny.

Kongres wyraził pogląd, że w rok 1948 lub 1950 należy ogłosić, jako jubileuszowy, celem uczczenia rocznicy śmierci i Wniebowzięcia Matki Boskiej. Ponieważ jest zupełnie prawdopodobne, że Matka Boska zmarła w r. 48, a więc w 62-im roku swego życia, jest bardzo wskazane, by właśnie rok 1948 lub w razie trudności rok 1950 był rokiem poświęconym rozważaniu Jej życia, śmierci i Wniebowzięcia.

JUGOSŁAWIA

BISKUPI W ARESZCIE

(CHIP) Dopiero teraz przedostały się zagranicę informacje, że dwaj biskupi sufragani z Zagrzebia, biskup F. Salisewis i biskup J. Lach znajdują się od przeszło roku w areszcie. Nie wolno im opuścić miasta bez uzyskania na 30 dni naprzód pozwolenia policji. Wskutek tego nie mogą oni wykonywać swych obowiązków kapłańskich. W archidiecezji Zagrzebia około 60 parafii nie posiada księży. Zostali oni uwięzieni albo musieli ratować się ucieczką.

ROSJA

KLER PRAWOSŁAWNY W ROSJI

W roku 1917 było w Rosji około 68 tysięcy certwi, 50.960 popów, 15.210 diakonów i 45.705 świeckiej służby cerkiewnej. Były 4 akademie duchowne z 860 słuchaczami i 36 seminariorów duchownych z 20.500 słuchaczami. W roku 1940 pozostało tylko 5.665 duchownych, czyli zaledwie 10%. Jednakże w ciągu ostatnich pięciu lat liczba ta wzrosła wielokrotnie. W ciągu września 1945 było już w patriarchacie około 30.000 duchownych. W lipcu ub. roku było otwartych 25.000 cerkwi. Biskupów jest obecnie 72. Są otwarte z powrotem dwie akademie duchowne. Jednakże z początkiem roku szkolnego 1946/47 liczyły one zaledwie 30 słuchaczy. Seminariorów duchownych jest obecnie osiem. Poziom wykształcenia nowego duchowieństwa jest z konieczności niski. Brak jest podręczników, bibliotek i doświadczonych pedagogów. O. Piotr Schulze, który podał te dane w interesującym wykładzie wygłoszonym przez radio watykańskie, stwierdza na zakończenie, że widoczna jest tendencja rządu sowieckiego, aby — pozwoliwszy, ze względów taktycznych, na legalny rozwój cerkwi prawosławnej — uniemożliwić rzeczywistą wybudowę silnego i świadomego swych celów kleru. (IP)

KSIAŻKA W ZSRR. W Sowietach wydano w ciągu ubiegłych 30 lat 87 tysięcy książek w ogólnym nakładzie 11 miliardów egzemplarzy i w 109 językach. Na czele kroczą dzieła Marksa Engelsa, Lenina i Stalina — ponad 720 milionów egzemplarzy w 101 językach. Krótką historię partii komunistycznej Stalina wydano w 33 milionach egzemplarzy. Z klasyków pierwszorzędnie zajmuje Gorki (44,6 miliona), za nim Puszkina (35,4), Tolstoj (25,5), Czechow (18,4), Turgeniew (12,4) i Gogol (10,5) miliona.

Rosjanka, Olga Skorochodowa w wieku lat czterech straciła zupełnie wzrok, słuch i mowę po ciężkiej chorobie. Dzisiaj, mając lat 33 opublikowała książkę p.t. „Jak ja odczuwam świat”. Profesor Sokolowski opracował metodę przedstawienia jej świata. M.in. kładąc jej rękę na swej krtani nauczył ją wymawiać niektóre słowa, tylko na podstawie naśladowania przez nią ruchu strun głosowych. Dzisiaj Skorochodowa pisze poezje.

Przeciw innowacjom w liturgii

W ostatniej encyklice liturgicznej Papież porusza również obszerniej zagadnienie języka liturgicznego.

„Czcigodni bracia... nie bez troski dowiadujemy się, że są tacy, którzy używają języka krajowego w odprawianiu cudownej Ofiary Eucharystycznej... Używanie języka łacińskiego w przeważającej części Kościoła jest jasnym i szlachetnym wyrazem jedności i skutecznym antidotum przeciw wypaczeniu czystej doktryny... W wielu obrządkach, oczywiście, używanie języka krajowego może być bardzo pomocne, ale tylko Stolica Apostolska ma moc udzielić zezwolenia...”

Londyński „Universe” przypomina przy tej okazji, że od kilku lat napływają informacje, iż w niektórych krajach jak n.p. szczególnie we Francji, poszczególni księża, na własną odpowiedzialność, zaczęli odprawiać Mszę Św. w ten sposób, że niektóre części odmawiali w języku rodzimym.

Obecnie w użytku liturgicznym Kościoła jest dziesięć języków: łaciński, grecki, arabski, słowiański, syryjski, rumuński, ormiański, koptyjski, etiopski i gruziński. Wszystkie z wyjątkiem łaciny są uprawiane w katolickich obrządkach wschodnich. Z trzema wyjątkami (t. zn. arabskiego, rumuńskiego i gruzińskiego), są to języki albo martwe, albo używane w formach klasycznych, niezrozumiałych dla przeciętnej współczesnej wiernych. (IP)

U. S. A.

FILMY RELIGIJNE DLA ZYSKU

(CHIP) W Nowym Yorku odbyło się zebranie katolickich producentów filmowych i radiowych. Liczni mówcy zgłosili zastrzeżenia przeciwko wychowawczym i religijnym filmom, wytwarzanym przez wielkie firmy z Hollywood. Podkreślano, że firmy re kierują się wyłącznie chęcią zysku i że są to przeważnie te same firmy, które przedtem produkowały obrazy proso-wieckie i prokomunistyczne, jak np. „Mission to Moscow” lub „Song of Russia”.

Zwracano też uwagę na konieczność zwiększenia produkcji przez katolickie przedsiębiorstwa filmowe.

„FILANTROPIA”

Z KOŃCEM ubiegłego roku ktoś przypomniał sobie o półwiecznym jubileuszu kuli dum-dum, wynalezionej w Birmingham. Wtedy to pewien szwajcarski dziennik z daty 2 listopada 1897 w notatce p. t. „Filantropijna kula” tak napisał:

„Jakiś paradoksalny filantrop twierdził, że wieczny pokój pojawi się na świecie pewnego dnia jako następstwo faktu, że wobec udoskonalenia metod zabijania wojna stanie się zbyt okrutna, a przez to wprost niemożliwa. Z tego punktu widzenia mała kulka w Birmingham jest czysto filantropijna”.

Jak z tego widać, złudzenia trwają już wiele lat. Wartyby jednak przeczynać, co napisałby ten szwajcarski „filantrop” po ostatniej wojnie mając możliwość zrobienia przeglądu obecnych metod masowego uśmiercania ludzi?

„KOTOLOGIA”

W KAŻDYM domu powinno się trzymać kota nie tylko dla jego dekoracyjnych lub praktycznych zalet, ale dla tego, że kot przez swój spokój wpływa kojąco na ludzi nerwowych, drażliwych i zmęczonych. Mało osób bowiem posiada sztukę wypoczywania. Nie umieją poprostu zostawić spraw ich biegowi. Ale gdy kot chce odpocząć, wtedy nie tylko kładzie się on, ale ciało jego rozlewa się na podłodze jak woda. Już samo obserwowanie go jest odpoczynkiem.

Kot jest bystry, ma nieugiętą wolę i niezwykłą cierpliwość. Kiedy kot chce opuścić pokój, nie zwraca na siebie uwagi, nie naprzykrza się głośno, ale wybiera sobie miejsce w pobliżu drzwi. Wie on, że okazje zdarzają się tym, którzy są przygotowani. Wydaje się jakby już myślał o czym innym, ale niech tylko nadarzy się sposobność i ktoś uchyli drzwi, kot wychodzi”.

W.L. Phelps

O malarstwie religijnym L. PLATER

ZE STRONY 5

świecie, jedni błędzili po polach lasach, podpatrując i naśladowując naturę martwą (pejzaż); inni zakładali swe pracownie na placach i targach i pracowali dla zabawy bogatych mieszczan i kramarzy (szkoła flamandzka). Niektórzy we Francji byli na żołdzie dworaków i zalotnic, przy ich boku parali się rzemiosłem niskim, które miało w sobie coś z dworactwa i tapicerstwa. Był to ostatni stopień upadku malarstwa. Sztuka, jak ewangeliczny syn marnotrawny, opuściwszy Kościół, dom ojcowi, bawiła czas niejaki na wielkim świecie, ale wnet zstąpiła do szynków i dobiła się wreszcie w domach rozpusty.

Byłoby długą i żmudną rzeczą przechodzić wszystkie epoki tej historii. Nieraz zatrzymywała się sztuka w ruchu zstępującym, nieraz próbowała się podnieść. Były dobre głowy, sumienne talenty, które czuły zło i usiłowały mu zapobiec. Ale zamiast szukać przyczyn zła w osłabieniu zapału religijnego, oni szukali tych przyczyn w wadliwości metody i w braku techniki dzisiejszej. Przeświadczeni o niższości współczesnych malarzy pod tym względem, zwrócili się ku arcydziełom wieku Leona X. Z tych arcydzieł zrobili oni przedmiot studiów, że tak rzekę, anatomicznych i alchemicznych. Cyrkiem rozmiarali rysunki Rafaela, badali przez lupę pociągnięcia pędzla Vincięgo, analizowali w tygielku farby szkoły weneckiej. Dla wskrzeszenia sztuki, zamiast ożywić jej ducha oni odrestaurowali formę. Stąd poszedł ów eklektyzm śmieszny, któremu się uroiło, że potrafi połączyć w jednej i tej samej kreacji rozmaite zalety Rafaela, Tycjana i Correggia; stąd owe cudaczne systemy grup, które chcieli jedni układać w trójkąty, a drudzy woleli urządzić w kształcie winogron; stąd to wreszcie owe tomowe przepisy o wyborze modeli, o kostiumie i kolorystyce lokalnym, o architekturze i t. d.

Artyści tej nowej szkoły uczyli malarstwa tak, jak retorzy, którym się zdaje, że uczą swoich uczniów poezji. Zbadali oni, zgłębili, wyuczili się wszystkich składowych części sztuki, posiadli wszystkie jej tajniki, ale geniuszu twórczego im brakło. August Schlegel stosuje do nich z dużą słusnością tę naukę, ewangeliczną: „Znajdźcie wpróż Królestwo Niebieskie (natchnienie, idee), a ziemskie dobra (metoda, styl) będą wam później dane.”

Rewolucje artystyczne dokonywały się zbyt wolno i w sferze zanadto wysokiej, aby lud mógł ich przyczynić zgłębić; ale on odczuł wnet ich skutki. Dostrzegł on zle tendencje sztuki i przestał ją szanować. Ten sam lud, który uwielbiał kiedyś Madonny staro Cimabuego, który korzył się w zachwycie przed Madonnami Giotta, ten lud włoski, taki żywy i taki wrażliwy, stanął zimny i niewzruszony przed utworami Carraccich, Allorich, Guida i Guercina. A przecież nie zaciął on poczucia sztuki, z uporem strzegł w kościołach arcydzieł Rafaela i Correggia, gotów był z bronią w ręku nie dopuścić do ich zabrania; ale ten lud nie dbał wcale o nowsze utwory. Widział w nich same obce i niezrozumiałe sceny, figury pogańskie i barbarzyńskie; nie poznawał już w tych obrazach swej ewangelii. Ani tytuły szumne, jakimi ozdabiano artystów, ani pochwały i zachęty, szczerze im udzielane przez papieży i uczonych, nie zdołały zrehabilitować malarstwa w oczach tłumu.

Wielkie jury ludowe wydały swój werdykt: uznano nowe obrazy za to, czym były rzeczywiście — za przedmioty handlu, za sprzęty; pytano się o ich cenę i przechodzono dalej. Tak straciła sztuka, wypierając się ducha ewangelii, cały swój wpływ moralny, całą swą popularność.

Tu zbliżamy się do nowego przełomu. Tak zwykłym w historii ludzkości nawrotem, sztuka stoczywszy się do ostatniego szczebla upadku, rozpoczęła dźwigać się w górę. Ta ostat-

nia reforma nie zrodziła się w szkołach; zdecydował o niej we Francji wielki przewrót polityczny, w Niemczech obudzenie się ducha religijnego. Rewolucja r. 1789, która wstrząsnęła tak silnie duszą narodów, wywarła wnet wpływ swój na utwory artystyczne. Mówiono wtedy we Francji o prawie przyrodzonym, o społeczeństwie pierwotnym, o prostocie starożytnej; i sztuka też musiała się zbliżyć do natury. David, gorący republikanin i wielki wielbiciel starożytności, zwrócił się ku starym Rzymowi. Nie znajdując pomiędzy współczesnymi sobie modeli na swych trybunów i konsulów, szukał ich w sferze sztuki, w muzeach i na scenie. Otóż posągi i aktorowie, służący za modele Davidowi, mieli więcej prawdy i życia, niż ich można było znaleźć w malarstwie starej szkoły, z jej kupidynami o kolczanach herbowych, z pasterkami w perukach i nimfami w dworskich sukniach. David wyprowadził sztukę ze sfery codziennego życia prozaicznego, wyniósł ją na szczyt malarstwa historycznego; pozostawał tylko krok jeden do utworzenia malarstwa religijnego.

Na nieszczęście upadek wolności powstrzymał nagle polot tego śmiałego malarstwa demokratycznego. Sztuka ponownie straciła swoją ideę, matkę, swój dogmat rodzajny; stała się zabawką modną. Jakaś zachcianka pierwszego konsula, jakiś romans modny, zwycięstwo wielkiej armii lub przedstawienie świetne w Operze stwarzały nowe rodzaje malarstwa, dostarczały artystom przedmioty i modele. Malarstwo nabierało kolejno charakteru oszajnicznego lub żołnierskiego, anakreontowego lub romantycznego, mieszczańskiego lub proletariuszowego. Każdego dnia powstawało nowe imię i nowa szkoła, żyjące tak długo, jak jeden felieton i jedno ministerium...

(Przekład z francuskiego J. Kallenbacha)

ADAM MICKIEWICZ

GERTRUDA VON LE FORT

Znana katolicka pisarka niemiecka dziś już 70-letnia Gertruda von Le Fort, przebywa obecnie w Szwajcarii, gdzie wygłosiła szereg prelekcji, z których dochód przeznaczyla na pomoc niemieckim głodnym dzieciom. Pisarka została przyjęta do PEN-CLUBU ze względu na swe stanowisko wobec władz hitlerowskich. W swej obecnej twórczości poetyckiej autorka "Chusty Weroniki" i "Papieża z Ghetta" wypowiada się za wszystkimi nieszczęśliwymi na świecie, a wśród nich podkreśla ciężki los "wygnańców niemieckich ze Wschodu".

Ostatnio powieść pisarki p.t. "Papież z Ghetta" została przetłumaczona na język słowacki.

Z podróży do Nowej Zelandii

tam amatorów świeżego powietrza, nie zamącała jednak w niczym spokoju wód.

Jest nas garstka Polaków (siedmiu), 4 Włoszki, 1 Francuzka, 1 Chinka, reszta — to Anglo-Sasi. Interesują się oni nami, dochodzą, gdy mogą bezpośrednio, a najczęściej okrężnymi drogami, po co właściwie ci Polacy jadą do Nowej Zelandii? Czy na długo? Co tam będą robić? Kto im za przejazd płaci? Zaciekawienie, uśmiech raczej szeptawy, rezerwa. Wyjątek to sympatyczna grupa harcerzy Nowozelandzkich, i kilku stonkowo świeżej daty kolonistów, przybyłych z Europy oraz niewielka grupa katolików, około dwudziestu. Gromadzą ich dookoła siebie w niedziele i święta na nabożeństwa; frekwencja dobra z wyjątkiem rodaków, których dwóch tylko przychodzi. Gdzież ten osławiony katolicyzm polski? I skąd pretensje do Boga, że naród polski, tak „głęboko katolicki,” doświadcza?

Płyniemy, płyniemy, dzień po dniu następuje w nużącej jednostajności. Niebo i woda, nic więcej, i cudne księżycowe noce. Pewnego dnia ukazuje się wyspa: to jedna z grupy Azorów. Innym znowu razem, 10 dni po opuszczeniu brzegów Anglii, gdyśmy już byli na środku Atlantyku, pewna inteligentnie wyglądająca Angielka zapytała się mnie, gdzie właściwie jesteśmy, na morzu Śródziemnym, czy też na Oceanie Spokojnym. Co za szczęśliwa nacja, którą stać na tego rodzaju nonszalanckie traktowanie geografii, Polakowi płazem by to nie uszło. Cóż robić, co wolno wojewodzie, to nie tobie... pomyślałem sobie, tłumacząc jej, gdzie właściwie jesteśmy.

Słońce coraz potężniej grzeje. Na pokładzie pływalnia, kino, tańce, wyścigi konne, organizują odczyty i przedstawienia. Ludzie zabijają czas, jak mogą. Wreszcie dobra wiadomość: można będzie lądować, widać już bowiem w oddali zębate zarysy wyspy Curacao.

Curacao, słoneczna wyspa, której mieszkańcy nie stracili jeszcze wesołości wraz z kulturą katolickiej Hiszpanii, odziedziczonej. Surowy, protestancki purytyzizm obecnych jej władców nie zdołał, dziękować Bogu, zagasić radości życia zewsząd tryskającej, nie zrobił tego spustoszenia, co w wielu innych krajach, nie zamienił rozśpiewanych weselem świąt katolickich, jakie znają Włosi, Hiszpanie, lub choćby Polacy, w ponure, purytańskie niedziele o zamkniętych szczerlinie domach, pustych ulicach, o pogrzebowym nastroju. Statek, którym jeszcze 25 dni płynąć będę, to wyspa o takiej właśnie szarej, konwencjonalnej zimnej atmosferze.

Kilkugodzinny postój w kipiącym zyciem mieście Willemstad, stolicy Curacao, wśród różnokolorowej ludności, uprzejmej i wesołej, mówiącej swym dziwnym językiem, Papiamentu zwanym, gdzie hiszpański przeważa, okazały niesłychanie czysto utrzymany kościół Dominikanów z posągiem św. Jacka Odrowąza, wąskie, równe ulice pełne krętaniny i gwaru, bogactwo sklepów, wspaniałe limuzyny, jakich Londyn nie zna, rozgwar, śpiew i muzyka wszędzie, — słowem, życie w pełni — to jakby głęboki oddech płuc żądnych świeżego powietrza, niezapomniane wrażenie piękna, zdrowia i wesela.

A potem kanał Panamski. Czego Francuz Lesseps nie zdołał dokonać, zrobili Amerykanie z ogromnym nakładem pieniędzy i pracy. Płyniemy rzeką, następnie kanałem, trzy potężne śluzki windują „Rimutakę” 85 stóp ponad poziom morza, płyniemy jeziorami o gładkich, jak lustro, toniach i poszarpanych brzegach, pokrytych niesłychanie bujną, podzwrotn-

nikową roślinnością, potem znowu kanałem, mijamy wsie i miasteczka o dźwięcznych, pełnych poezji, jak n.p. Miraflores, nazwach i nowe amerykańskie osiedla. Dalej znowu jezioro, znowu śluzki opuszczające nas do poziomu morza. Płyniemy tak 50 mil; krajobraz jak z bajki.

U wylotu kanału nad Oceanem Spokojnym, nad cichą zatoką w mieście Panama, stolicy państwa teje nazwy — drugi postój. Jest niedziela wieczór i wigilia Niepokalanego Poczęcia. Kościoły są pełne wiernych, ulice pełne gwaru, różnokolorowe światła, neony, ruch, śpiew, kipiące, bujne życie. W każdym niemal mieszkaniu widać obraz Madonny wśród światła, zieleni i kwiatów. Drugie Curacao w lepszym jeszcze wydaniu. Żegnając Panamę, żegnałem świat łaciński z całym urokiem, czałem, bogactwem jego prastarej kultury.

Rimutaka pruje już wody oceanu Spokojnego, przepływa równik przy stosunkowo chłodnej temperaturze, kometa, gołym okiem widoczna w ciągu dwóch nocy, wskazuje nam drogę do Nowej Zelandii i po 11-u dniach stajemy przy małej górzystej wysepce, o 5 klm. kwadr. powierzchni. To wyspa Pitcairn, licząca około 180 mieszkańców, Europejczyków i rosłych, barczystych mieszkańców. Należą oni wszyscy do sekty adwentystów, świętują sobotę, nie jedzą mięsa z wyjątkiem koziego, nie palą i nie piją. Mają swój kościół, szkołę, stację radiową, pocztę i więzienie. Rządzących więźniów zwalnia się co środę na jeden dzień, by mogli własnej gospodarki doglądać. Wracają oni we czwartek rano do więzienia. Istnieje przymus szkolny dla dzieci, od 6 do 16 lat. Wyspa ma własny samorząd, dwóch urzędników i trzech policjantów. Najwyższą placą urzędniczą wynosi trzy funty miesięcznie. Główny dochód mieszkańców — to sprzedaż znaczków pocztowych, owoców i drobnych wyrobów ręcznych, jak laski, koszyki i t.p. Jest to najmniejsza kolonia Imperium Brytyjskiego.

Podróż nasza dobiega już końca. W ciągu ostatnich kilku dni morze jest burzliwe, nie robi to już jednak prawie na nikim wrażenia. Święta Bożego Narodzenia były smutnymi świątami, pomimo starań załogi, by je nam uprzyjemnić. Wieczorny obiad, nieodzowny Christmas Pudding, dziwaczne papierowe nakrycia głowy, w których każdy od sztywnego generała i wysokiego komisarza jakichś nie znanych mi bliżej wysp na Pacyfiku, do małego dziecka, przez cały wieczór chodzić musiał — wszystko to nie zastąpiło nam choinki, wieczery wigilijnej, koled i pasterki.

Wreszcie 28 grudnia wieczorem wylądowały się w mgle oddalenia niewyobrażalne jeszcze górzyste zarysy północnej wyspy Nowej Zelandii i następnego dnia, w pogodny, upalny ranek stanęliśmy w malowniczej zatoce, przypominającej mi zatokę Neapolitańską, z miastem Wellingtonem, szeroko u podnóża i na stokach gór rozrzuconym.

O moich pierwszych z Nowej Zelandii wrażeniach, o przychylnym do nas nastawieniu i szczerzej gościnności jej mieszkańców, o osiedlu polskim w Pahiatua innym razem napiszę.

L. PLATER

1) Wyspa Curacao jest kolonią Holenderską.

FUNDUSZ OŚWIATY POLSKIEJ ZAGRANICĄ (28, BEAUFORT GDNS, LONDON, S.W.3.) — TO GWARANCJA, ŻE TWOJE DZIECI NIE ZAPOMNĄ POLSKIEJ WIARY I POLSKIEJ MOWY.

Nowy adres administracji

Z Y C I A

12 PRAED MEWS W 2

Telefon PAD 9734

Stacja kolei podziemnej: Paddington

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna: 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cal przez 1 lam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób pracy: do 20 słów — 5 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 8 sh. za trzykrotnie — 10 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 1 sh. zamiesz, czono dwukrotnie — 2 sh., trzykrotnie — 2 sh. 6 d. Różne: jedno słowo 9 d. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji: 21 Earls Court Square, LONDON, S.W.5., Tel.: FLA 1509. Adres Administracji: 12 Praed Mews, W 2, tel. PADDINGTON 9734.

Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey.